

PREZENTUJEMY

Piotr Kitrasiewicz – magister kulturoznawstwa, dziennikarz – jest autorem dwóch tomików wierszy, zbioru miniatur teatralnych i słuchowisk radiowych pt. *Morderstwo w senacie* oraz szkiców literackich zebranych w książce *Sekrety pisarzy*.



Wyszepecz mi swoją tęsknotę
Tak żebym nie dosłyszał
Powiedz mi swoje pragnienia
Tak żebym nie zrozumiał
Poczęstuj mnie jabłkiem Ewy
Tak żeby wąż nie zwyciężył

Hamlet

To nie ostrze papieru
Nie umarł od ciosu zdrady
On kochał ojczyznę
A Dania była zatruta

Wenecja

Wystawiona
Na sprzedaż
Dla żarłocznych turystów
Posiekana kanałami
Na których gondole
Wspominają czasy Republiki

Pałac Dożów jęczy
Pod naporem tłumów
A gołębie siadają
Na ramionach pomników
I kamienieją razem z nimi

Mędrzec

Badając odbicie Absolutu
Zanurzył się w rzece
I liczył krople wody

Prąd go porwał
Wir dokończył dzieła

Ryby zjadły kolację z szacunkiem lecz
Nie nauczyły się mówić

Norwid

Zginałeś...
Przystrojonego nieśmiertelnym całunem
Złożono w horacjańskiej świątyni

Zmiażdżyła cię twoja wielkość
Mędrcy tego świata pluli na twój cokół
Tylko cień Johna Browna stał
Nad twoim skonaniem
I wołał
Przykryjcie mnie lepiej

Żebraczka

Żebraczka wyciągnęła do mnie rękę
Na chleb, tylko na chleb
Mówią rozpaczą jej oczy

Kocham ludzkość
Jednoczę się z Naturą
To cudownie być
Istnieć
Nie mieć hamletowskiego dylematu

Drzewo – ja
Ptak – ja
Obłok – ja
Pajaczek tkający – ja
Strumień między skałami – ja

Pełna Nirwana
Ale...

Idź precz żebraczko
Skazo
Dysharmonio
Asymetrio
Precz

Kocham ludzkość
Jednoczę się z Naturą

POWŚCIĄGLIWOŚĆ I PRACA

MIESIĘCZNIK KATOLICKI
WYDAWANY NAKŁADEM
XX MICHALITÓW

SPIS TREŚCI

- PREZENTUJEMY – P. Kitrasiewicz 2
- LEPIEJ OFIAROWAĆ – ks. M. Gładysz CSMA 3
- RZUCANO KŁODY POD NOGI – rozmowa z sędzią B. Nizieńskim 4
- KOBIETY PONAD PODZIAŁAMI? – B. Fedyszak-Radziejowska 7
- MĘDRCY NIEWIEDZY – J. Wegner 9
- CIERPIENIE I TALENT – B. Nowak 10
- WIARA UZDRAWIA – A. Sokół 11
- DROGA DO BEATYFIKACJI KSIĘDZA MARKIEWICZA (2) – rozmowa z ks. M. Babulą CSMA 13
- ODNALEŹĆ BOGA – ks. D. Kielar CSMA 15
- RAPORT O STANIE WIARY (2) – kard. J. Ratzinger 16
- DO PSYCHOLOGA! – I. Sikora 18
- PSYCHOSYNTeza – J. Trammer 19
- ZDOBĄDŹ INDEKS STUDIÓW DZIENNIKARSKICH 19
- CENZORSKIE NOŻYCE (1) – J. Hera-Astanowicz 20
- PAJĘCZA SIĘĆ – M. Karpiński 21
- ROJENIA – C. Bunkiewicz 22
- MURY – G. Guttman 23
- LEWICA, DIALOG, BIEDA (3) – P. Gospodarski 24
- WIARA ARTYSTY – M. Szreder 25
- GROMNICA... – J. Kossakowski 26
- KŁAMCA – A. W. Pawluczuk 26
- ECHA NASZYCH PUBLIKACJI – K. Zarański 27
- EUCHARYSTIA – rec. ks. M. G. 28

FOT. OKŁADKA I – G. Gałęzka

Numer zamknięto 24 stycznia 2005 r.

ks. Mieczysław Gładysz



Lepiej ofiarować

Piękna jest nasza ojczyzniana tradycja, pozwalająca nam śpiewać koledy dłużej niż w Kościele powszechnym, a choinki wygasić dopiero 2-go lutego – w święto Ofiarowania Pańskiego. Wspominamy wtedy Maryję i Józefa ofiarowujących w świątyni jerozolimskiej cały sens swego życia – dziecię Jezus.

To było niesamowite ofiarowanie. Nawet bez cienia nadziei na satysfakcję. Bo oto zaraz, jakby smagnięcie katowskim pejem po twarzy, uderzyły Maryję słowa: *Ten jest na powstanie i upadek wielu... Znak sprzeciwu!*

I tak już pozostało w rodzinie ludzkiej. Ciągłe zło wyzywająco urąga sprawiedliwości. Kłamcy, malwersanci, krzywoprzysięcy, gorszycciele – dumnie zasiadają w fotelach ministerialnych czy nawet prezydenckich, a ludzie ubrani w togę sędziowskie manipulują prawem dla zbudowania wielkich fortun – nieważne, że z cudzą krzywdą... A tymczasem, gdy ktoś głośno się przyzna, że liczy się z prawem Bożym i sumieniem – natychmiast budzi wielki zgiewk motłochu i szybko jest, po prostu, eliminowany z gry, przez – pozał się Boże – obrońców wolności!... A różnej maści apostołowie urawniłowki klepią bez przerwy, że już sama obecność Kościoła w świecie jest istotnym źródłem niesprawiedliwości społecznej! Chciałoby się rzec, iż to jakaś wielka aberracja rozumu... Rzeczywistość niebezpiecznie skrzeczy... Miał rację starzec Symeon: *Zbawiciel był, jest i chyba dalej będzie znakiem sprzeciwu*, często na komendę! Dlatego też uroczystość naszej polskiej Gromnicznej podpowiada, że wszystkie rodziny, które za Maryją i Józefem ofiarują Bogu miłość swego życia – jako uczestniczą w tym *znaku* z wszelkimi konsekwencjami.

Dzień 2-go lutego to święto życia konsekrowanego. Ojciec Święty z całym Kościołem woła dramatycznie o wielką modlitwę za tych wszystkich braci i siostry, którzy – idąc za głosem powołania – jak kadzido spalają się w służbie Bogu i człowiekowi, będąc nieraz wyrzutem sumienia dla świata.

Natomiast matkom chrześcijańskich rodzin ze wszech miar wypada – za przykładem *Gromnicznej* Stachiewicza – ując mocno oburzać światło żywej wiary i opędzić swe rodziny przed sforami najemnych połykaczy sumień. Bowiem już starożytni mawiali, że lepiej samemu ofiarować, niż stać się ofiarą!...

Z sędzią Bogusławem Nizieńskim,
byłym Rzecznikiem Interesu Publicznego,
rozmawia Paweł Smogorzewski

Rzucano kłody pod nogi

Panie Sędzio! Zakończył Pan trwającą sześć lat kadencję Rzecznika Interesu Publicznego. Czas na podsumowanie. Ja pragnąłbym jednak zapytać o nadzieje, jakie Pan miał, obejmując to stanowisko.

Nadzieje były ogromne. Wydawało się, że uda się prześledzić losy wielu osobowych źródeł informacji, a przede wszystkim ujawnić tych, którzy w swoich oświadczeniach lustracyjnych nie ujawnili prawdy o sobie, o swoich związkach ze służbami specjalnymi PRL. Nie w pełni się to udało, dlatego że nie zaliśmy sytuacji, która się wytworzyła po 4 czerwca 1989 r., poprzez dopuszczenie do masowego niszczenia teczek personalnych i teczek pracy tajnych współpracowników. Przecież dopiero 30 stycznia 1990 r., ówczesny minister spraw wewnętrznych gen. Czesław Kiszczak, wydał zarządzenie zakazujące niszczenia jakichkolwiek materiałów pozostałych po byłej **Śłużbie Bezpieczeństwa**. Przez ten czas, to jest przez prawie siedem miesięcy, w sposób masowy niszczone te materiały, więc jakże potem można było ustalić, kto był – spośród osób pełniących funkcje publiczne – na usługach **SB**? Nie mieliśmy wyobraźni, nie wiedzieliśmy, że te niszczenia są tak ogromne...

Możemy je oszacować?

W niektórych Wojewódzkich Urzędach Spraw Wewnętrznych, zwłaszcza w tych małych, niemal 90 proc. materiałów archiwalno-operacyjnych zostało zniszczonych. Przynajmniej taki stan rzeczy wynika z raportów o niszczeniu materiałów. Oprócz tego były przypadki wnoszenia materiałów. Bo

jeżeli nie ma w wykazie niszczonych teczek personalnych materiałów, których szukaliśmy, i nie było ich w archiwach po **SB**, to znaczy, że je wyniesiono. Na szczęście były też jednostki, takie **Wojewódzkie Urzędy Spraw Wewnętrznych**, w których potraktowano poważnie zarządzenie gen. Kiszczaka o zakazie niszczenia jakichkolwiek dokumentów. Dzięki temu udało się je odzyskać z worów, w których były już złożone tecki personalne i tecki pracy, przeznaczonych do zniszczenia.

Można więc powiedzieć, że praca Rzecznika Interesu Publicznego była działaniem prawie detektywistycznym...

Na pewno była to praca poszukiwawcza. Trzeba było szukać – i tak jest nadal – czy zachował się jakiś materiał dotyczący osoby, która **Rzecznika Interesu Publicznego** interesowała. Czasami udawało się znaleźć jakieś odpisy czy wyciągi z doniesień agenturalnych w innych teckach: w teckach założonych na tzw. *figurantów spraw operacyjnego rozpracowania*. To znaczy, że tajny współpracownik w swoim doniesieniu agenturalnym uwzględnił kilka osób, obciążył je swoim doniesieniem, a wyciągi z tego doniesienia zostały rozprawione do tych teczek, w których występowali ci tzw. *figuranci*, czyli osoby, na które zbierano materiały. Można się więc było posilkować takim materiałem, jeżeli był on na przykład kserowany, albo też sporządził taki wyciąg były funkcjonariusz **SB**. W takiej sytuacji przesłuchiwalismy tego funkcjonariusza, aby opowiedział, w jaki sposób on uzyskał doniesienie agenturalne, dla czego sporządził wyciąg z tego donie-

sienia i gdzie ten wyciąg ostatecznie trafił. To jest bardzo złożone poszukiwanie, ale nasi pracownicy nauczyli się, jak postępować w takich sytuacjach.

Ustaliśmy, że na koniec roku 2004 mieliśmy 588 osób, które były na stanowiskach lustracyjnych, wcześniej lub aktualnie, ale co do których zachowały się tylko rejestracja prowadzona przez organy bezpieczeństwa państwa, rejestracja w dzienniku rejestracyjnym, albo w dzienniku koordynacyjnym, albo w dzienniku archiwalnym. Natomiast nie zachowała się tecka pracy, czy tecka personalna takiej osoby. Sąd Najwyższy stwierdził, że sama rejestracja nie może być dostatecznym dowodem czegoś tajnej współpracy, ponieważ szereg osób zostało zarejestrowanych w ewidencji operacyjnej organów bezpieczeństwa państwa, chociaż faktycznie nie były one tajnymi współpracownikami. W związku z tym musimy szukać innych dowodów, aniżeli sama rejestracja. Niekiedy to się udaje, ale w zdecydowanej ilości wypadków nie ma szans na odnalezienie jeszcze innych dowodów poza rejestracją. Najważniejszym z nich jest tecka personalna lub tecka pracy tajnego współpracownika. Ale, jeżeli tego rodzaju tecki już nie ma, to sytuacja dowodowa bardzo się komplikuje.

Najtrudniejszymi – zdaje się – były te wszystkie sprawy lustracyjne, które Pan prowadził, a które dotyczyły prominentnych osób ze świata polityki...

Te osoby mają już określony stosunek do lustracji i od samego początku były jej przeciwnie – pewnie, domyślając się, że mogły się zachować materiały, które je kompromitowały. A takie

materiały w niektórych jednostkach służb specjalnych się zachowały! Wojskowe służby specjalne dbały o to, żeby zachowały się wszystkie tecki personalne i tecki pracy współpracowników tajnych różnych kategorii, którzy współpracowali z **Zarządem II**, to znaczy wywiadowczym, **Sztabem Generalnym Ludowego Wojska Polskiego**. Te akta są w idealnym porządku. Natomiast gorzej jest, gdy chodzi o tecki osobowych źródeł informacji, a przede wszystkim tajnych współpracowników, którzy pracowali na rzecz **Wojskowej Służby Wewnętrznej**...

Czyli wojskowego kontrwywiadu?

Tak. Tam zatrzymywano do końca tecki personalne tajnych współpracowników, natomiast ich tecki pracy, jeżeli nie przedstawiały szczególnej wartości operacyjnej, były niszczone. Stąd procesy lustracyjne, obejmujące osobowe źródła informacji kontrwywiadu wojskowego, były już bardziej skomplikowane. Trzeba było ustalać świadków, którzy – według zapisów w teccze personalnej – prowadzili dane źródło. Trzeba ich było przesłuchiwać, aby uzyskać pewność, że dana osoba była faktycznie źródłem informacji kontrwywiadu.

Natomiast najgorzej wygląda sprawa w **Śłużbie Bezpieczeństwa**. Jak już mówiłem, dopuszczono do masowego niszczenia materiałów operacyjnych, które zostały po **Ministerstwie Spraw Wewnętrznych**.

Panie Sędzio, czy zgodziłby się Pan z ostatnio lansowaną tezą, że trzeba ogłosić nazwiska tych wszystkich, którzy współpracowali ze służbami specjalnymi PRL?

Czy oni współpracowali, to w świetle wyroku **Trybunału Konstytucyjnego** musiałby sprawdzić sąd. Bowiem **Trybunał Konstytucyjny** uznawał tajną współpracę tylko przy spełnieniu pięciu podstawowych przesłanek – a mianowicie: *zobowiązanie do współpracy*, które się zachowało i musiało zostać zmaterializowane, to znaczy, że osoba, która zobowiązała się do tajnej współpracy, musiała przekazywać informacje funkcjonariuszowi czy funkcjonariuszowi **SB**. Te informacje, jak wypowie-



fol. R. Pzespęcki

dział się w tej materii Sąd Najwyższy, musiały być pomocne i przydatne organowi bezpieczeństwa państwa. Dopiero wtedy można mówić o zmaterializowaniu współpracy, która była zrealizowana. Natomiast, jeżeli się myśli o tym – tak jak w modelu czeskim – żeby wprowadzić do Internetu nazwiska tajnych współpracowników czy też funkcjonariuszy służb specjalnych, no to będzie to nie całkiem jasne do końca. Były bowiem przypadki, że ktoś został zarejestrowany, ale z takich czy innych względów nie podjął współpracy. Kiedy nazwisko takiej osoby pojawi się w Internecie jako: *tajny współpracownik*, pojawi się problem, czy on nim był, czy tylko podpisał zobowiązanie do współpracy, ale jej nie podjął.

Pokazano mi w jednej z delegatur było **Urzędu Ochrony Państwa** właśnie taki przypadek, gdzie członek **Komisji Zakładowej Solidarności** stanął przed problemem – zgodzić się na współpracę czy zostać internowanym? Wybrał to pierwsze: podpisał zobowiązanie o współpracy. W tym zobowiązaniu obrał konkretny pseudonim, ale w jego teccze pracy nie ma żadnych dokumentów, które miał wytworzyć. Są tylko notatki funkcjonariusza, który miał tego – w cudzysłowie – tajnego współpracownika na swoim kontakcie, w których stwierdza, że *nie można na-*

wiązać z nim żadnego kontaktu. Efekt był taki, że po półtora roku rozwiązano tę współpracę, a ta – w rozumieniu **Trybunału Konstytucyjnego** – współpracą nie była. Ten człowiek, który podpisał tylko zobowiązanie do współpracy i przyjął pseudonim, nie przekazał *bezpiecze* ani jednej informacji...

Czyli można się było wykręcić z uściskiem SB?

Można. A rzeczony działacz **Zakładowej Solidarności** zrobił to bardzo sprytnie, bo nie dał się *nigdy złapać na kontakt* – ukrywał się. Teraz pojawia się problem, ponieważ on w zasobie archiwalnym figuruje jako *tajny współpracownik*. W **SB** przecież nikt się nie wdał w to, czy współpraca zaistniała czy też nie. Jeżeli teraz ktoś taki trafi do Internetu, to pojawi poważny problem, również natury moralnej. Trzeba więc wyraźnie zaznaczyć, że w tym materiale operacyjno-archiwalnym nie ma nic, poza jego zobowiązaniem do współpracy. Nie przekazał *esbecji* żadnych informacji. Żeby to było jasne. Bo bardzo łatwo można skrzywdzić Bogu ducha winnych ludzi.

Dokładnie nie wiem, jak wygląda projekt nowelizacji ustawy o **Institucie Pamięci Narodowej**, jak również czy pozostanie nadal **Biuo Rzecznika Interesu Publicznego**, czy **Rzecznik Interesu Publicznego** będzie nadal dzia-

łał. Wiem tylko, jak wygląda lustracja w Internecie po czesku: tam się wpisuje przy imieniu i nazwisku danej osoby oraz przy dacie urodzenia kategorię, w jakiej *źródło* funkcjonowało.

Nie wiem, jak to sobie wyobrażają te osoby, które w tej chwili dążą do nowelizacji ustawy. Byłoby dobrze, jak sądzić, gdyby wszystkich, którzy mają teraz swoje teczki personalne i teczki pracy i są dowody na to, że przekazywali informacje – żeby ich ujawnić. Tylko, z kolei pojawia się niebezpieczeństwo, że te osoby będą twierdzić, iż doniesienia agenturalne im przypisywane nie pochodzą z ich ręki. Mamy przecież szereg procesów lustracyjnych, w których cała linia obrony osobowego źródła informacji jest oparta na twierdzeniu, że: *to nie z jego ręki, że to jest falsyfikat*. Konieczna jest wtedy potrzeba skorzystania z usług biegłego z zakresu grafometrii. To specjalista musi powiedzieć czy doniesienie agenturalne, czy też zobowiązanie do współpracy, pochodzi z ręki danej osoby. To jest bardzo uciążliwe postępowanie dowodowe...

Na początku naszej rozmowy stwierdził Pan, że rozpoczynając pracę Rzecznika Interesu Publicznego, był pełen nadziei. A w jakim nastroju zgłasza się Pan z tym urzędem?

Muszę przyznać, że nie udało się wszystkiego zrealizować – było to ponad nasze siły. Było wiele *zakrętów* w naszej pracy. W szczególności przy nowelizowaniu ustawy lustracyjnej, które zaczęło się jesienią roku 2001. To zahamowało pracę Sądu Lustracyjnego. Przez siedem miesięcy trzeba było czekać, aby Trybunał Konstytucyjny, w wyroku z 28 maja 2003 r., orzekł, że nowela do ustawy lustracyjnej – która wyłączała z pojęcia *tajnego współpracownika* tych, którzy świadczyli swoje usługi w zakresie wywiadu, kontrwywiadu i ochrony granic – jest niekonstytucyjna i trzeba wrócić do pierwotnej wersji. W tym zakresie dwukrotnie czyniono zabiegi, aby lustrację podważyć, żeby rzucić jej klody pod nogi. W wyniku tego Sąd Lustracyjny musiał zaprzestać prowadzenia szeregu procesów, zawieszając postępowanie lu-

stracyjne.

Ale wciąż są środowiska, nazwijmy je opiniotwórcze, które za wszelką cenę chcą lustrację ukroczyć...

Mnie się wydaje, że – na szczęście – po wydaniu wyroku przez Trybunał Konstytucyjny, ci, którzy zmieniali czy chcieli zmienić ustawę lustracyjną, niejako się uspokoili. Zrozumieli, że przecież nie można za wszelką cenę dążyć do zmiany ustawy, jeśli ta zmiana się nie utrzyma w procesie przed Trybunałem Konstytucyjnym. Od wspomnianego wyroku, który wszedł w życie 4 czerwca 2003 r. już nie zaobserwowałem prób zmieniania ustawy lustracyjnej. Tyle, że ona wciąż, niestety, napotyka na trudności spowodowane karygodnym dopuszczeniem do zniszczenia tysięcy teczek personalnych i teczek pracy agencji organów bezpieczeństwa PRL.

Panie Sędzio, jak Pan stwierdził, rzucono klody pod nogi, ale były w Pańskiej służbie dla Polski również i sukcesy. Który Pan uważa za największy?

Myślę, że czeka Pan, żebym powiedział, że takim zwycięstwem jest wykazanie przez Sąd Lustracyjny, że niezgodne z prawdą oświadczenie lustracyjne złożył były marszałek Sejmu. To był bardzo trudny proces. Dwukrotnie sąd pierwszej instancji rozpoznawał sprawę pana Józefa Oleksego i dwukrotnie Sąd Apelacyjny w Warszawie stwierdził, że pan Oleksy złożył niezgodne z prawdą oświadczenie lustracyjne. Raz sąd odwoławczy uchylił pierwszy wyrok i nakazał sądowi pierwszej instancji – przy ponownym rozpoznawaniu sprawy – okazać szczególną wnikliwość w kwestii następującej: czy Agenturalny Wywiad Operacyjny był ogniwem operacyjnym Zarządu II Sztabu Generalnego Ludowego Wojska Polskiego w rozumieniu *artykułu 4 ustęp 1* ustawy lustracyjnej. Na tym sąd skoncentrował całą swoją pracę przy ponownym rozpoznawaniu sprawy. Natomiast Rzecznik Interesu Publicznego musiał dostarczyć sądowi materiał, z którego by wynikało, że ta formacja była ogniwem operacyjnym Zarządu II. Temu celowi służyło 27 teczek per-

sonalnych czy teczek pracy wywiadów AWO, którzy na rzecz tego wywiadu pracowali w tych samych latach, kiedy zarejestrowany był w tym charakterze pan marszałek Sejmu Józef Oleksy. Chodziło o to, żeby przekonać Sąd, że to było ogniwo operacyjne, które zdobywało wiedzę poprzez swoich wywiadowców w czasie ich pobytów zagranicą, oczywiście w krajach zachodniej Europy, a więc tych, które były w tzw. *zainteresowaniu operacyjnym* wojskowych służb wywiadowczych PRL. Dlatego ten proces był tak trudny.

Poza tym pan Józef Oleksy nie należał do tzw. łagodnych lustrowanych. Starał się – a do tego miał pełne prawo – bronić przed zarzutem, który został mu postawiony. To był proces, który wniósł wiele do sprawy oczyszczenia naszego życia publicznego i przyniósł duży sukces. Musimy mieć jednak na uwadze, że to dopiero połowa drogi. Od tego wyroku służy odwołanie, które pan Oleksy już zapowiedział. A w razie, gdyby ten wyrok, który zapadł, został utrzymany w mocy przez sąd odwoławczy, to panu Oleksemu – tak jak każdemu lustrowanemu – służy prawo do złożenia kasacji do Sądu Najwyższego. Jak wiadać droga jest jeszcze długa i daleka, i nie wiadomo, jak się zakończy.

Za Panem sześć nadzwyczaj pracowniczych lat. Odchodzi Pan w stan spoczynku?

Na wypoczynek? Ostatnio *złapałem się* na tym, że kiedy szedłem pieszo przez centrum Warszawy, to właściwie nie poznałem mojego miasta! Jeździłem z domu do pracy i z pracy do domu. Tyle było mojego kontaktu ze stolicą, z jej życiem. Właściwie teraz nie umiem się znaleźć w tym mieście. Muszę więc trochę odpocząć i pomyśleć, co robić dalej. Tym bardziej, że w tej chwili jeszcze jestem, tak jak i pan Sędzia Krzysztof Kauba, w okresie przekazywania moich agend następcom.

Dziękując za wszystko, co zrobił Pan do dobra Polski, proszę również przyjąć serdeczne Bóg zapłać od redakcji i całego środowiska Powściągliwości i Pracy.

Rozmawiał Paweł Smogorzewski

ZWYCZAJNIE RZECZ BIORĄC

W środę, 5 stycznia 2005 r. zostałam zaproszona przez dziennikarkę *Gazety Wyborczej* (jako osoba o poglądach konserwatywnych) do udziału w debacie o przemocy wobec kobiet. Uczestniczkami rozmowy miały być: pani prof. M. Środa i pani dr E. Adamiak, a celem spotkania – *pogłębienie problemu z dala od polityki*. Przyjęłam zaproszenie, ale wtedy (!) z udziału w dyskusji wycofała się pani minister M. Środa. Odpowiedziałam więc dziennikarce, by realizowała swój zamiar beze mnie. Tak też się stało, a rozmowa *kobiet ponad podziałami* ukazała się w *GW* w poniedziałek 17 stycznia 2005 roku. Przeczytałam zapis dyskusji bardzo uważnie i wreszcie zrozumiałam powody, dla których minister M. Środa wygłosiła w Sztokholmie swój kontrowersyjny referat.

Kobiety ponad podziałami?

Barbara Fedyszak-Radziejowska

Przypuszczam, że uczyniła to przede wszystkim na nasz wewnętrzny, *stricte* polityczny, użytek. Chodziło o zapewnienie przez co najmniej kilka tygodni trwałej obecności minister M. Środy na łamach prasy, w telewizyjnym okienku i na falach eteru. Być może już za 4 – 5 miesięcy odbędzie się w Polsce wybory parlamentarne. *SLD* nie ma większych szans na elektorat większy niż 8 – 10 proc. wyborców. Ale zawsze może podjąć walkę o głosy selektywnie zmobilizowanych grup społecznych, np. o głosy tysięcy kobiet cierpiących z powodu rodzinnych problemów, kobiet upokorzonych, a może i bitych przez mężów. Jeśli uda się je przekonać, że źródła ich tragedii tkwią w patriarchalnym Kościele katolickim, w pravicowym, konserwatywnym, *rodzincentrycznym* systemie wartości, to pravicowe partie polityczne mogą stracić kilka procent głosów na rzecz *SLD*. Mało prawdopodobne? Tonący brzytwy się chwyta, a każdy głos ma dzisiaj dla *SLD* wagę sejmowego fotela.

Jeśli wywiady i dyskusje z profesorem M. Środą (osobą znacznie bardziej naturalną i sympatyczną, niż profesor M. Szyzskowska czy posłanka Senyszyn) będą pojawiać się co kilka dni w *GW*, *Polityce*, w kobiecych tygodnikach, w *TVN*, *TVP* i polskim radio, to

jej polityczne zaplecze może zebrać kilka procent poparcia.

Powodem postawienia tej hipotezy stało się użyte w *GW* zdanie: *kobiety ponad podziałami*. Co znaczy ten sielankowy postulat, wzywający kobiety do szczególnej jedynomyślności i pokazujący zarazem, że lewica nie potrafi uwolnić się od sloganów o *klasowej współnoście interesów i klasowej świadomości*, tym razem nie *proletariatu*, a – kobiet?

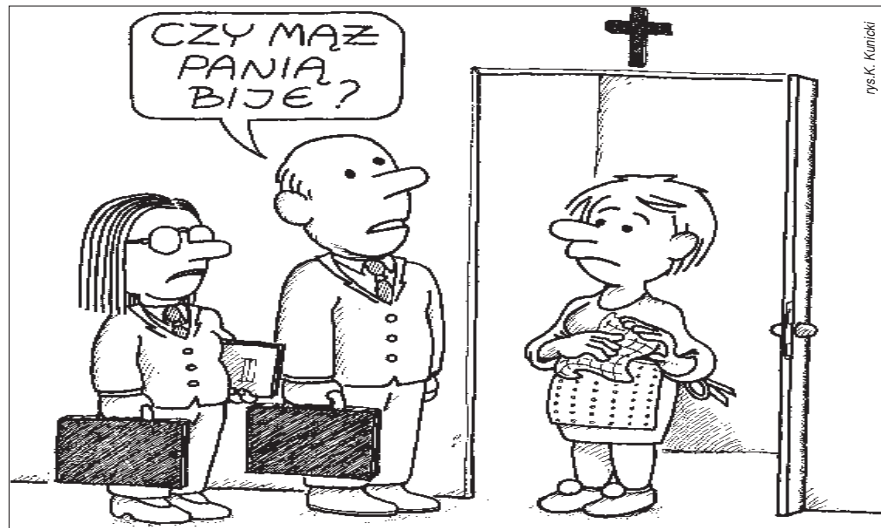
Dlaczego panom przysługuje prawo do zróżnicowanych interesów, poglądów i stanów świadomości, a kobiety, zdaniem dyskutujących na łamach *GW* światłych pań, powinny tworzyć jednolity front *ponad podziałami*? *Cała władza w ręce kobiet* – zdają się wolać lewicowe feministki. Jeśli nie dzisiaj, to w niedalekiej przyszłości. Jeżeli, rzecz jasna, w najbliższych wyborach jak najwięcej władzy trafi w ręce *SLD*. Może uda się wmówić jakimś zranionym, niechętnym kobietom, że są polityczną wspólnotą, dyskryminowaną przez zaplecze pani Minister.

Do postawienia tej hipotezy skłania mnie także treść referatu pani minister M. Środy. Trudno mi bowiem uwie-

rzyć, że profesor filozofii, wytrawny dydaktyk, zapewne także w jakiejś mierze logik (jak przystało filozofom), jest Autorką tak niespójnego i nie partoparte merytorycznymi argumentami intelektualnego wywodu. O ile wiem, treść referatu nie pojawiła się w żadnym z poczytnych dzienników lub tygodników, może więc warto przybliżyć ją Czytelnikom *PIP*.

Pani Profesor sporo uwagi poświęca trudnościom, które w walce z przemocą sprawia *klasowe, historyczne pojęcie honoru*. Powtarza też myśl także w rozmowie opublikowanej w *GW*. Pi-sze: *Mężczyzna, który przepuszcza kobietę w drzwiach, jest kimś, kto ma władzę i to zarówno przepuszczając ją przez drzwi, jak i zamknięcia jej tych drzwi przed nosem. Honorowe i galanteryjne zachowania wobec kobiet są w istocie rzeczy oznaką dominacji, tyle, że w aksamitnym wydaniu...* Trudno uwierzyć, że ktoś poważnie traktuje tego rodzaju argumentację. Nie jestem już młodą osobą, ale pamiętam, że gdy 30 lat temu przechodziłam przez drzwi w towarzystwie innej kobiety, ustępowałam jej zawsze, gdy *gdyrowała* nade mną wiekiem i powagą. Co więcej, nie miałam zwyczaju pechać się do drzwi także w wypadku spotkania z rówieśnicą, szluznie przewidując bolesne zetknięcie z framugą. Czy z naukowego punktu widzenia była to demonstracja przewagi, a moje galanteryjne zachowanie wobec Babci oznaczało dominację?

Dalej pani Profesor pisze: *to właśnie pojęcie honoru sankcjonowało w pewnym okresie historycznym głębokie uzależnienie kobiet...* Trudno uwierzyć, by Autorka tych słów naprawdę sądziła, że tylko mężczyźni – pozbawiony zarówno galanterii, jak i honoru – traktował w pewnym okresie historycznym kobiety po partnersku. Pani Profesor o honorze myśli tak: *za owym wąskim pojęciem honoru kryje się jego szerokie rozumienie jako przemocy związanej z dominacją...* (i dalej): *za kategoriami natury, honoru, społeczeństwa, a nawet galanterii, kryje się zróżnicowana, a często ukryta, można powiedzieć, drzemiąca – przemoc wobec kobiet...* ⇨



rys. K. Kuciński

Zaiste, prawdziwy horror. Przemoc wobec kobiet czai się w każdym zakątku. Jest wszechobecna. A walka z nią wymaga stoczenia zwycięskiej bitwy (bez użycia przemocy!?) nie tylko z naturą, lecz także ze społeczeństwem. Co zostanie po tej dramatycznej walce? Trudno powiedzieć. Ale jeśli rzeczywistość uda się nam zlikwidować i galanterię, i naturę, i honor, i społeczeństwo – na pobożniaku zostanie... czy nie przemoc właśnie?

Jak walczyć z przemocą, skoro jest ona niezbywalnym elementem kultury – dramatycznie pyta pani Profesor. I znajduje odpowiedź: przemoc jest elementem kultury patriarchalnej, czyli trzeba się odwrócić do patriarchy plecami i stworzyć kulturę matriarchalną, opartą na wartościach i pryncypach kobiecych. I chociaż, jak pisze pani Profesor, z praktycznego punktu widzenia wiemy, że nie da się tego zrobić, to jednak w ramach pluralistycznego społeczeństwa rozliczne wspólnoty wyboru (np. wspólnoty lesbijek) są możliwe i zapewne pożądate.

Przyznam, że mam kłopoty ze zrozumieniem, dlaczego społeczeństwo

matriarchalne kojarzy mi się z macyrystwem i wysoką pozycją kobiet – matek – rodzicielek, a dla pani Profesor matriarchat oznacza wspólnoty lesbijek. Być może nie doczytałam najnowszych odkryć feministek, które w kulturze matriarchalnej dostrzegły dominację związków damsko-damskich i męsko-męskich.

To zresztą tłumaczyłoby powody, dla których nasza cywilizacja odeszła od matriarchatu w stronę kultury patriarchalnej. Gdyby bowiem matriarchat w swojej doskonałej postaci był rzeczywistością wspólną lesbijek, nie byłoby dzisiaj komu spisywać najnowszych odkryć nauki.

Wróćmy jednak do kolejnej odpowiedzi pani Profesor na dramatyczne pytanie o skuteczne instrumenty walki z przemocą. M. Środa pisze tak: *Najpoważniejsze bariery w walce z przemocą są (w Polsce) po stronie mentalności samych ofiar, jak i społeczeństwa polskiego. (...) Dla wielu kobiet przemoc jest czymś normalnym, niczym deszcz... Inną barierą jest rodzinocentryczny typ społeczeństwa i wspólno-*

towy charakter cenionych wartości. Związane jest to z tradycją polską, przede wszystkim zaś z religią. To ostatnie zdanie w angielskiej wersji referatu brzmi tak: *This is connected with the Polish tradition and first and foremost with Catholicism.*

To, że Szwedzi z ulgą przyjęli wiadomość, iż przemoc ma związek z katolicką, a nie protestancką tradycją, rozumiem. Ale to, że przedstawiciel polskiego rządu troszczy się głównie o samopoczucie Szwedów, a nie swoich obywateli – tego pojąć nie mogę. Tym bardziej, że – jak sam przyznaje w polskojęzycznej wersji referatu: *jeśli chodzi o statystyki, to nie są one takie złe, jeśli porównać Polskę do krajów europejskich, czy USA.* W wersji anglojęzycznej tego ostatniego zdania po prostu nie ma!

Czytałam referat pani Minister kilka razy i nie uwierzyłam, że napisany został przez naukowca. Ale w to, że napisał go polityk z myślą o nadchodzących wyborach, jestem skłonna uwierzyć.

Barbara Fedyszak-Radziejowska

IN FLAGRANTI

Od wypowiedzi minister **Magdaleny Środy** o tym, że przemoc w rodzinie inspirowana jest katolicyzmem, upłynęło już tyle czasu, że nie powinienem tego tematu podejmować. Wszelako wracam do twierdzenia min. Środy, ponieważ znany i ceniony publicysta **Wojciech Sadurski** wydrukował w dzienniku **Rzeczpospolita** artykuł temu poświęcony.

Mędrcy niewiedzy

Autor zaczyna wywód od słów: *Magdalena Środa zapewne postąpiła nieroztropnie, wypowiadając się na temat związku między katolicyzmem a przemocą w rodzinie (...), dlatego że wypowiedziała się jak profesor uniwersytecki, podczas gdy jest ministrem rządu, któremu należy – i słusznie – na harmonijnych stosunkach z hierarchią kościelną...*

Dobre sobie, profesor akademicki – a Magdalena Środa jest doktorem habilitowanym nauk filozoficznych *Uniwersytetu Warszawskiego*, gdzie wykłada... etykę – może sobie pozwolić na głoszenie tez nieopartych żadnym doświadczeniem, przeciwnie, którym doświadczenie wielowiekowe zaprzecza.

Przy okazji Sadurski postępuje opinię **Macieja Rybińskiego**, felietonisty tego samego dziennika, który napisał, że *przemoc wobec kobiet jest przejawem braku kultury*: Sadurski ripostuje: *Ekwiwalentem tej oceny byłoby stwierdzenie, że rozbicie komuś głowy kijem bejsbolowym jest przejawem złego wychowania lub nietaktem...*

Ależ tak! – Pani Redaktorze Sadurski – okaleczenie kogoś nie w obronie własnej, za to z premedytacją, jest przejawem barbarzyństwa, a barbarzyństwo to – jak wiadomo wszystkim, którzy czytają gazety i książki – zaprzecza kulturę (wszelkiej!)

I właśnie o kulturę i wiedzę chodzi w sporze z Magdaleną Środą i Wojciechem Sadurskim – jej sekundantem: kulturę chrześcijańską, wynoszącą na najwyższy piedestał życia duchowego katolików kobietę – Matkę Bożą. A ile w dziejach Kościoła jest świętych kobiet!

W kulturze chrześcijańskiej dzieciom, od zarania ich świadomości, wpa-ja się szacunek do kobiet. Przede

wszystkim dlatego, że Bóg powołał je do dawania światu nowych ludzi. Cięża i rodzenie jest cudem niezwykłym i trudnym do udźwignięcia, który znakomita większość kobiet podejmuje z własnej woli.

Przywołajmy teraz Ewangelię. Jest tam kilka sekwencji, których głównymi bohaterami są kobiety. Na przykład rozmowa Pana Jezusa z Samarytanką przy studni. Kobieta wróciła do swej wsi i opowiedziała o spotkaniu z Jezusem, i wtedy wszyscy – jak podaje Ewangelista – uwierzyli w Mesjasza. To znaczy, że kobieta przyniosła do swej społeczności ideę Boga.

A kto pierwszy spotkał Zmartwychwstałego Chrystusa i kto pierwszy o Zmartwychwstaniu się dowiedział? Trzy kobiety, które Apostołom przekazały tę wiadomość: – *Powiedzcie moim braciom, że idę do Galilei* – powiedział Zmartwychwstały Chrystus kobietom. I one wypełniły tę misję. Stąd chrześcijaństwo uznaje wielką społeczną i moralną rolę kobiet, tradycyjnie przynoszonych do rodzinnego ogniska ideę Zmartwychwstania.

Kobiety spełniały to posłannictwo mniej więcej do końca XIX w. Później, gdy wywalczyły sobie – i słusznie – równouprawnienie, zaczęły o tym ewangelicznym powołaniu zapominać, albo je lekceważyć. I dziś pewna ich część jest może mniej religijna od mężczyzn... Na tym bodaj polega kryzys współczesnego chrześcijaństwa, współczesnego katolicyzmu.

Czyżby pani Środa – profesor akademicki – nie znała historyczno-religijnej roli kobiet w chrześcijaństwie? A może ma podstawową wiedzę ewangeliczną i z historii Kościoła, tylko,

w jakichś nieznanach nam celach, publicznie – i to zagranicą – ją przeklamauła?

Jeśli natomiast ignorancją tłumaczyć wypowiedź min. Środy, to jak wyjaśnić, że ma tytuł doktora habilitowanego nauk filozoficznych?

Inaczej z enuncjacją Sadurskiego – jej główną ideę rozumie się bez trudu: *minister nie może, a profesor akademicki może głosić, że religia katolicka staje się przyczyną przemocy w rodzinie*. Sadurski bowiem nie zdaje sobie sprawy, jak napisał (we wcześniej cytowanym tu fragmencie), że mężczyźni maltretujący swe żony i dzieci są barbarzyńcami. Tak, Panie Redaktorze, bez jakiegokolwiek kultury, degeneracji moralnej i umysłowej, którzy nie mają żadnych związków z Kościołem katolickim oprócz chrztu. Kościół i sakramenty św. są im niepotrzebne. *Każdy ksiądz katolicki, gdyby spowiadał męczyznych dręczącego rodzine, udzieliłby mu rozgrzeszenia pod warunkiem, że więcej tego czynić nie będzie*. Przecież Kościół – od czasów, gdy jego Prawodawca nauczał na ziemi izraelskiej – z całą stanowczością potępia wszelką przemoc, a więc i przemoc wobec najbliższych. **JAK MOŻNA TEGO NIE WIEDZIEĆ?!**

Sadurski wydrukował artykuł chyba jedynie w tym celu, żeby pokazać Czytelnikom, jaki jest bezstronny, jaki mądry w tej zrównoważonej bezstronności. Lecz tę mądrość, nie tylko rozmazując nasze podejrzania o brak wiedzy, lecz także sposób wyrażania myśli przez Autora. Oto malenki przykładyk pióra tego mistrza publicystyki: *Ale sednem problemu nie jest to, czy wypowiedzi Środy (...) były obraźliwe (...), ale raczej to, czy świadczyły one o braku kwalifikacji do realizowania celów realizowanych przez urzędy przez te osoby pełniące...*

Krótko i dosadnie mówiąc: w tekście Sadurskiego spotyka się dwoje mędrców. Jeden głosi publicznie nonsensy, którym zaprzecza elementarna wiedza teologiczno-historyczno-etyczna. Drugi zaś wcale tych nonsensów nie piętnuje, przeciwnie – tłumaczy możliwość ich publicznego wypowiadania z perspektywy nie politycznej, a naukowej.

Jackek Wegner

11 LUTEGO – ŚWIATOWY DZIEŃ CHOREGO

Jadzię Markur spotykam co niedzielę na Mszy św. w sanktuarium Serca Pana Jezusa w Szczecinie. Wózek inwalidzki zawsze popycha jej mąż Bogusław – zawodowy kierowca. Zapewne przypomina sobie swój niezwykły ślub sprzed wielu lat w tej samej, najludniejszej świątyni Grodu Gryfa. Życie 54-letniej Jadzi byłoby pasmem wyjątkowego cierpienia, a mimo to jest ona osobą niezwykle pogodną i bezgranicznie ufną Bogu.

Cierpienie i talent

Jadwiga Markur urodziła się w Szczecinie bez rącek i lewej nóżki. Najbardziej przerażona była jej matka, Anastazja. W okresie ciąży (z jedyną i tak bardzo upragnioną córką) poddała się szczepieniu. Była to tak silna dawka szczepionki, iż z tego powodu urodziła się dziewczynka bez rączek i nóżki. Anastazja była tak zrozpaczona, że kilka razy szła z kaleką dziewczynką utopić się w pobliskiej Odrze. Jednak, jako osobą głęboko przerażoną, czuła, że jakaś tajemnicza siła na brzegu rzeki odpychała ją od samobójczego kroku. Była to niewątpliwie pomoc samego Chrystusa, któremu powierzyła życie swoje i niepełnosprawnej Jadzi. Wprawdzie ludzie Jadwigę opuścili, ale nie zapomniał o niej sam Bóg.

Jadwiga ma jeszcze dwóch braci: młodszego i starszego – pełnosprawnych, okazujących jej ciągłe swoją życzliwość i pomoc. Tak jest do dnia dzisiejszego, pomimo że mają już własne rodziny.

Pani Jadzia poruszała się na pośludkach. Jedyna, prawa noga zastępuje jej ręce. Je nią i poznaje napotykaną przedmiot.

Jako dziecko została skierowana do Świebodzina, gdzie znajduje się sanatorium dla dzieci kalekich. Tam nauczyła się jeść, pisać i chodzić. Przeszła kilka bolesnych operacji prostowania całej, lecz zniekształconej, kończyny. Otrzymała protezę, która pozwoliła jej oglądać świat z normalnej wysokości. Świetnie daje sobie radę ze spożywaniem posiłków: zupę je, naciskając żyłkę ramieniem. Kromkę chleba chwytając brodą i kładzie na ramię. Podobnie robi ze szklanką z herbatą lub kawą. Ukoń-

czyła szkołę podstawową, a potem – w Wrocławiu – specjalne technikum ekonomiczne w roku 1970. Tam otrzymała, dyplom technika-ekonomisty ze specjalnością – handel spółdzielczy.

Jadzia nigdy nie chciała być dla nikogo ciężarem, dlatego podjęła pracę referenta ds. statystyki w szczecińskiej spółdzielni JEDNOŚĆ. Potem została telefonistką, bo miała dar nawiązywania kontaktów z ludźmi. Nauczyła się przyciskać guziczki kikutami w centrali telefonicznej. Dużą pomoc okazywała jej – jak zawsze niezastąpiona – matka. Pracując jako szatniarka w pobliskiej szkole wpadała przygotować jej śniadanie lub pomóc przedostać się do toalety. Po 15 latach pracy w spółdziel-



ni pani Jadwiga wypracowała sobie rentę inwalidzką.

Za Bogusława – pełnosprawnego mężczyzny – wyszła za mąż w roku 1984. Doskonale pamięta – jak każda kobieta, że miała wtedy na sobie długą, niebieską suknię (miała założone protezy), a na głowie – biały toczek. Na weselu wytańczyła się za wszystkie lata. Najmilej wspomina pierwsze lata tego nietypowego małżeństwa. Nawet miała *małego fiata*, którym mąż odwoził ją do pracy. Zaczęli także budowę domku jednorodzinny. Niestety, ich małżeństwo, które trwało siedem lat, rozpadło się wskutek złego towarzystwa kolegów Bogusława, alkoholu i innej kobiety.

Jadzia już we wrocławskim technikum dała się poznać jako dziewczyna o duszy i talencie artystycznym. Jeden z nauczycieli tej bezrękiej szczeciniance przepowiedział, że w przyszłości zajmie się na serio malowaniem.

Tak się stało. Gdy przeszła na rentę inwalidzką chciała ten wolny czas pożytecznie wypełnić. W ciągu kilkunastu lat namalowała – nogą – setki olejnych obrazów. Przedtem trochę malowała brodą. Obrazy pani Markur są znane w całej Polsce, ale zawędrowały także do różnych krajów europejskich i do Ameryki. Jeden z nich jest nawet w galerii w Waszyngtonie. Jej widokówki ozdabiają kalendarze. Pani Jadwiga najchętniej maluje kwiaty, przyrodę i motywy religijne.

Jeden ze swoich obrazów ofiarowała do Sanktuarium Matki Boskiej Bolesnej w Licheniu. W podziękowaniu – kustosz, ks. mgr Eugeniusz Makulski – napisał do malarki wzruszający list: *Serdecznie dziękuję za śliczny obraz Aniola Stróża. Posiąść sztukę malowania to już wielki dar od Boga, ale malowanie stopą to wprost nieprawdopodobne. Zdolnością, którą Cię Bóg Miłosierny obdarował, nie dając innych możliwości, wkłada w Twoje serce swoją wielką miłość i tchnienie.*

Niech dzieła Twoje cieszą ludzkie oczy. Niech Twoje zdolności będą w pełni wykorzystane i docenione. Obyś czerpała z życia radość i zadowolenie, czego Ci z całego serca życzę.

Markur należy do Światowego Związku Artystów Malujących Ustami i Stopami w Vaduz (Księstwo Liechtenstein), skąd otrzymuje stypendium, pozwalające jej uprawiać swoją artystyczną pasję. Tę fundację założył kilkadziesiąt lat temu bezręki artysta-malarz-grafik-rzeźbiarz niemiecki – Arnuif Erach Stegmann (1912 – 1984). Artystka przez malowanie wyraża swoje myśli, samotność i miłość do Boga, czyli to wszystko, co trudno przekazać słowami.

Bezręka malarka jest laureatką wielu nagród i wyróżnień – m.in. słynnego księdza-patrioty-społecznika Bolesława Domańskiego, za *działalność artystyczną, która jest przykładem zwycięstwa ducha nad materią*. Swoje obrazy malowane stopą przekazuje też na cele charytatywne.

Jadzia czuje się znów szczęśliwą mężatką, bo po siedmiu latach powrócił do niej mąż. Dopiero po takim czasie nieobecności w sakramentalnym związku przekonał się, że skrzywdził niepełnosprawną żonę. Sam też jest już rencistą, wskutek przejścia różnych chorób i dlatego zapewne lepiej rozumie psychikę inwalidy: – *Bogusława mi fizycznie, a ja wspieram go duchowo – stwierdza Jadzia z uśmiechem – Gdy idziemy na spacer, to ja siedzę na wózku inwalidzkim, który prowadzi mąż przed sobą, ale ja zwykle wtedy mówię: TO JA CIĄGNĘ BOGUSŁA DO PRZODU.*

Cztery lata temu Jadzia nabyła w komisie samochodów marki OPEL KADETT, który prowadzi Bogusław. Razem jeżdżą na różne wystawy, plenery, prezentacje, spotkania, pielgrzymki...

Uruchomiła też telefon przyjaźni JAGÓDKA dla osób niepełnosprawnych, by im ułatwić życiowe kontakty między sobą. Ona sama najlepiej wie, co znaczy samotność w życiu człowieka-inwalidy. Chce innych ochronić od takiego stanu cierpienia duszy.

Bogdan Nowak

11 LUTEGO – ŚWIATOWY DZIEŃ CHOREGO

Tym, którzy wierzą, żadne wyjaśnienie nie jest potrzebne. Dla tych, którzy nie wierzą, żadne wyjaśnienie nie jest możliwe.

Franz Werfel

Wiara uzdrawia

Anna Sokół

Jeff Levin – prof. nadzwyczajny zdrowia i medycyny środowiskowej w Szkole Medycznej w Wirginii Wschodniej – przeprowadził wiele badań i stwierdził, że istnieje bardzo silny związek między religią a zdrowiem. Wobec ograniczeń, a w niektórych przypadkach bezradności medycyny, współczesny człowiek coraz częściej zaczyna szukać pomocy wewnątrz siebie.

Już od starożytności medycyna była ściśle powiązana z religią i dotykała tak delikatnej materii, jaką jest ludzki duch. Przypisywano mu ogromną siłę, z jaką może działać na organizm. (Trzeba tu od razu zaznaczyć, że bycie religijnym wcale nie musi oznaczać bycie uduchowionym. Wielu ludzi spełnia tylko religijny rytuał, przekazywany z pokolenia na pokolenie. Człowiek duchowy sięga w głąb siebie, ma poczucie czegoś niezwykłego, wykraczającego poza ramy człowieczeństwa.) Podczas silnego negatywnego stresu – albo w jakichś bardzo trudnych sytuacjach życiowych – wielu ludzi szuka pomocy i pocieszenia w modlitwie.

W USA przeanalizowano liczne badania i wykazano, że religia i duchowość w znacznym stopniu mogą przyczynić się do uzdrowień. Dr Dale Matthews z Wydziału Medycznego Uniwersytetu Georgetown wykazał niezwykle

wprost procent wyleczeń z wielu nieuleczalnych chorób, na które korzystnie wpływała religia. Victor Frankl, więzień obozu oświęcimskiego, powiedział, że piekło obozu łatwiej było przetrwać

tym, którzy mieli wiarę: *ludzie głęboko religijni mieli znacznie większe szanse na przetrwanie okrucieństwa obozów koncentracyjnych, niż ci, dla których życie straciło wszelki sens...*

J. Milton uważa, że kiedy w obliczu cierpienia człowiek zwraca się ku religii, wyraża w ten sposób swoją niegodę na poddanie się bezradności, rozpacz czy śmierci. J. W. Goethe, poeta romantyczny, powiedział kiedyś: *Godzien życia jest tylko ten, kto walczy o nie codziennie...*

Zwracanie się do Boga nie jest łatwe. Wymaga sporo wysiłku. Pomimo ciągłego bólu, cierpienia, poczucia pustki i bezsensu życia stale trzeba odnawiać więź z Bogiem. Nawet wtedy, gdy się nam wydaje, że to nic nie daje. *Kiedy modlimy się cierpliwie i z ufnością, nad nami otwiera się niebo* (ksiądz Jan Twardowski).

W katolickim Radiu Józef usłyszałam zdanie, które głęboko zapadło mi w pamięć: *modlitwa jest jak fuszuszka krwi*. Tak, modlitwa może w skuteczny sposób podtrzymywać lub przywracać życie i nadawać mu sens. Gdy życie ma sens człowiek doświadcza jakiejś specjalnej Siły, która popycha go do zmagania się ze złem, które go spotkało.

Pamiętam, jak przyjechała do mnie znajoma z Poznania i z litością w głosie powiedziała, że teraz jestem taka biedna i samotna, uwięziona przez chorobę w czterech ścianach: ⇨

– Ty, taka aktywna, żywotna, do tego w obcym mieście, bez znajomych. A tyłu ich miałaś... – Wyjęłam różaniec, który moja przyjaciółka przywiozła mi z Medjugorje, i uśmiechnęłam się:
– *Wcale nie jestem samotna...* – Znałam ze zrozumieniem pokiwała głową.

Siłę modlitwy różańcowej w pełni pojęłam na Słowacji. Jechaliśmy na ferie w góry. Mój mąż znalazł ciekawą i niedrogą ofertę domku w Tatrach po słowackiej stronie, tuż przy granicy z Polską.

Pojechaliśmy, Droga, mimo dużych opadów śniegu, była dobra. Tylko, że bardzo szybko robiło się ciemno. Po przekroczeniu granicy polsko-słowackiej w Łysej Polanie pojechaliśmy – zgodnie ze wskazówkami właściciela domku – boczną, górską drogą. I tu zakopaliśmy się kołami tak, że nie można było ruszyć w żadną stronę. Nie pomagało podkładanie gałęzi, które miały stanowić odbicie dla kół. Samochód nawet nie drgnął. Ciemno, głucho, beznadziejnie. I do tego jeszcze mijała godzina, do której mieliśmy się stawić w górskim domku.

– *Wracamy do Warszawy* – powiedział zdenerwowany bezowocną pracą mąż. Córka zaczęła płakać, bo tak się cieszyła z tych ferii.

Zazwyczaj w takich sytuacjach reagowałam nerwowo i awantura była tuż, tuż. Ale zaczęłam się w duchu modlić do Matki Boskiej. I wtedy stał się pierwszy cud. Obok naszego samochodu zatrzymali się jacyś turyści z Polski. Podjęli próbę wyciągnięcia nas, ale i ich wysiłki speliły na niczym. Nie mieli w swoim samochodzie linki holowniczej. Zatrzymali więc – jadący położoną nieopodal szosą – samochód. Byli to Słowacy. Przyczepili linkę do naszego samochodu. Udało się.

Musieliśmy jeszcze odnaleźć nasz domek, a godzina odbioru kluczy już dawno minęła. Pojechaliśmy w stronę zapalonych świateł z rzadka pojawiających się domów. W jednym z nich chcieliśmy się dowiedzieć, gdzie stoi wynajęty przez nas dom, albo gdzie możemy znaleźć właściciela, z którym zawarli-

śmy umowę wynajmu. Jako, że to ja mam kłopoty z nogami, pytać poszli mąż z córką.

Zostałam w samochodzie sama, na ciemnej, górskiej ścieżce. Słyszałam przez zamknięte szyby, jak świszczce wiatr. Sylwetki bliskich mi osób zaczęły wspinać się na górę. Straciłam ich z oczu. Byłam zupełnie sama w obcym kraju. Znowu zaczęłam na palcach ręki odmawiać różaniec. Po pierwszej dzięsiaćce poczułam, że przestają się bać i ogarnia mnie spokój.

Modliłam się dalej i wtedy stał się drugi cud. Obok mojego samochodu zatrzymała się granatowa *mazda*. Wysiadł z niej siwy mężczyzna i podszedł do mnie. Okazał się być poszukiwanym właścicielem domku. Po naszej krótkiej rozmowie udał się na poszukiwanie mojego rodziny. Znalazł ich bez trudu. Razem z nim dotarliśmy bezpiecznie na wzgórze, gdzie stał murowany, górski domek, opatrzony numerem 5 – czyli nasz. Kiedy później piliśmy gorącą herbatę, mąż zapytał:

– *Co Ty robiłaś, siedząc sama tak długo w samochodzie?*

– *Czekałam* – odpowiedziałam.

– *Myślałam, że modlitwa Matki Bożej torowała drogę cudom...*

Nikt nie chce cierpieć, ale to właśnie – obok radości – w nasze życie wpisane jest cierpienie. *Człowiek zrodzony z niewiasty ma krótkie i bolesne życie* (Hi 14, 1-2).

Jak sobie z tym cierpieniem poradzić? Są różne sposoby radzenia sobie z problemami, tak jak różni są ludzie. Jedno zauważyłam na pewno, że ludzie reagują na cierpienie tak samo, jak reagują na wiele innych spraw w życiu codziennym. Każda forma cierpienia, które przeżywamy, może stać się dla nas albo czymś przynębiającym, albo możemy odkryć w sobie drzemające siły, które są silniejsze niż nasza niemoc.

Przykładem niech tu będą artyści-plastycy, którzy z powodu swojego kalectwa malują ustami i nogami. Prowadzą świetnie funkcjonujące firmy, które sprzedają ich prace w formie świątecznych kart, kalendarzy czy obrazów.

Ból, choroba lub inne cierpienie dotyka nas wbrew naszej woli. Duchowe wartości – umiejętnie pielęgnowane i rozwijane – znacznie pomagają nam znieść zło. Ale – uważa – skupianie się wyłącznie na świecie duchowym może grozić zamknięciem się na ludzi i świat.

Podobnie, jak otaczanie się tylko dobrem materialnym, tak i przesadna duchowość może doprowadzić do naruszenia, tak ważnej w zdrowym organizmie, równowagi. W człowieku wszystko jest ważne: i ciało, i umysł, i duch. Nie zapominajmy o tym: gdy zaniebdujemy dom, dzieci, bo oddajemy się wielogodzinnym modlitwom czy medytacjom. Żeby zdrowo i dobrze funkcjonować, musimy rozwijać i swoje ciało, i swój umysł, i swojego ducha. Łatwo zauważyć, że z tych trzech elementów składa się człowiek, który został stworzony na Boże podobieństwo. Kiedy zapiszemy pierwsze litery z tych trzech słów wyjdzie nam słowo CUD. Tak, to jest cud, na który sami musimy zapracować.

We wszystkich aspektach naszego życia bardzo ważna jest znajomość zbocenia Boga w nas. Nie znaczy to wcale, że Bóg w jakiś cudowny sposób usunie nasze trudności, ale jest z nami obecny i pomaga zmagać się z problemami. To my sami – wzmocnieni siłą Boga – musimy uporać się z tym wszystkim, co niesie życie. *Powtórzę swoją ulubioną maksymę: Pan Bóg pomaga tym, którzy pomagają sobie sami*. Wzmocnij ją słowami Tommasza à Kempis: *czyń, co w twojej mocy, a Bóg wspomogę twoją wolę*.

Kiedy kilka lat temu przeprowadzałam wywiad z ojcem Jackiem Salijem i wysłałam mu go mailem do autoryzacji, odesłał mi go po kilku dniach z umieszczonymi na końcu życzeniami świątecznymi (a było to przed Wielkanocą). Obok pięknych życzeń świątecznych ojciec Salij życzył mi, abym zawsze w życiu trzymała się *Chrystusa*. Wtedy te słowa nie miały dla mnie takiego znaczenia, jak teraz.

Anna Sokół

ŚLADAMI KSIĘDZA BRONISŁAWA MARKIEWICZA

Droga do beatyfikacji (2)

Z ks. Marianem Babulą CSMA – pracownikiem Kongregacji ds. Instytutów Życia Konsekwowanego i postulatorem w procesie beatyfikacyjnym ks. Bronisława Markiewicza – rozmawiają ks. Edward Data CSMA i ks. Sylwester Łącki CSMA

Czy może Ksiądz powiedzieć coś więcej na temat uzdrowienia, które zostało uznane jako cudowne, za przyczyną ks. Markiewicza?

W niedzielę 31 lipca 1994 r., podczas sprawowania Mszy św., u ks. Romana Włodarczyka – *michality* (ur. 2.01.1934 r.), wystąpiły zaburzenia mowy w postaci używania nieodpowiednich do sytuacji wyrazów. Nie mógł on dokończyć Mszy św. – *doznał udaru mózgu*. Po odwiezieniu ks. Romana do Szpitala Wojewódzkiego w Toruniu stwierdzono, że przyczyną zaburzeń był udar (silne niedokrwienie) mózgu, który spowodował porażenie połowiczne z afazją.

A oto, co piszą na ten temat biegli lekarze: *Stwierdzone u księdza Romana Włodarczyka porażenie połowiczne z afazją świadczy o wystąpieniu dużego obszaru niedokrwienia lewej półkuli mózgu. Ogólny stan zdrowia księdza nie był dobry. Stwierdzono nadciśnienie tętnicze, zmiany miażdżycowe tętnic, nadwagę. Czas utrzymywania się porażenia trwał około 6 tygodni. Wszystkie te czynniki wskazywały, że w chwili przekazania pacjenta do Oddziału Rehabilitacyjnego można się było spodziewać, że z zejściem tego udaru mózgowego nastąpi znaczne inwalidztwo.*

Stwierdzony 23.10.1996 r. prawidłowy stan neurologiczny jest dla nas zupełnym zaskoczeniem. Doświadczenia nasze własne i dane z literatury wskazują, że zupełne wycofanie się objawów neurologicznych jest zdarzeniem wyjątkowym.

Wyjątkowość zdarzenia, które przeżył się w odzyskaniu przez ks. Romana Włodarczyka prawidłowego sta-

nu neurologicznego, sprowadza się między innymi do tego, że:

- 1) w naszej praktyce lekarskiej... nie pojawiło się analogiczne lub przynajmniej podobne wycofanie się objawów neurologicznych u pacjenta dotkniętego tą samą jednostką chorobową, co u ks. Romana Włodarczyka, a in specie w takim samym stopniu rozległości;
- 2) w literaturze fachowej oraz dokumentacji medycznej nie spotkaliśmy doniesień o podobnym lub analogicznym, jak u ks. Romana Włodarczyka, wycofaniu się objawów neurologicznych;
- 3) nie zachodzi korelacja pomiędzy zastosowanym u ks. Romana Włodarczyka procesem leczenia i rehabilitacji a zaistniałym faktycznie w dniu badania kontrolnego... jego stanem zdrowia, objawiającym się prawidłowym stanem neurologicznym;
- 4) ani literatura fachowa, ani nasza wiedza i praktyka medyczna nie pozwalają nam na stwierdzenie analogiczności lub chociaż zbliżonego przypadku wycofania się objawów neurologicznych w jednostce chorobowej, jaką był dotknięty ks. Roman Włodarczyk (*Copia Publica*, p. 171).

Jak już wspomniałem, 22 kwietnia 2004 r. lekarze Konsulty medycznej potwierdzili orzeczenie polskich lekarzy, uznając jednogłośnie uzdrowienie ks. Włodarczyka za *szybkie, całkowite i stałe oraz niewytłumaczalne z punktu widzenia aktualnej wiedzy medycznej*.

Oczywiście, od samego początku pobytu ks. Włodarczyka w szpitalu, tj. od 2 sierpnia 1994 r., zanoszona była nieustanna modlitwa do Boga, przez wstawiennictwo Czcigodnego Sługi Bożego ks. Bronisława Markiewicza, we

wszystkich placówkach obydwu Zgromadzeń, a w sposób szczególny w Archafii pod wezwaniem św. Michała Archanioła w Toruniu, gdzie pełnił swoją posługę kapłańską. Ta nieustanna modlitwa spowodowała niespodziewany przełom w chorobie, doprowadzając do zupełnego uzdrowienia pacjenta.

O trwałości tego uzdrowienia świadczą szczegółowe badania lekarskie, przeprowadzone w kwietniu 2004 roku. Ksiądz Włodarczyk czuje się bardzo dobrze i pełni regularnie i z zaangażowaniem wszystkie posługi kapłańskie i zakonne.

2 lipca 1994 r. został ogłoszony dekret o heroicznosci cnót Sługi Bożego. Po 10 latach doczekaliśmy się dekretu o cudzie. Dlaczego Kościół wymaga tych dwóch aktów, aby mogła nastąpić beatyfikacja wyznawców? W przypadku bowiem męczenników (np. do beatyfikacji) nie jest wymagany cud za ich wstawiennictwem...

Męczennictwo rozumiane było od pierwszych wieków chrześcijaństwa jako chrzest z krwi, który nie tylko rodził takie skutki jak chrzest z wody, lecz nawet go przewyższał, gdyż zapewniał męczennikowi chwałę w niebie bezpośrednio po oddaniu życia. Przekonanie to przetrwało przez wszystkie wieki i zostało jakby na nowo ujęte w *Konstytucji Dogmatycznej o Kościele* (nr 50), gdzie czytamy m.in.: *Co się zaś tyczy Apostołów i męczenników Chrystusowych, którzy – prześlawszy krew swoją – dali najwyższe świadectwo wiary i miłości, to Kościół zawsze wierzył, że są oni ściślejsi złączeni z nami w Chrystusie, okazywał im – jak i Błogosławionej Maryi Dziewicy i świętym Aniołom – cześć szczególną i pobożnie modlił się o pomoc ich wstawiennictwa...*

Ten sam dokument mówi dalej: *Do nich wszystkich dołączeni zostali niebawem także inni, którzy dokładniej naśladowali dziewictwo i ubóstwo Chrystusa, a w końcu i ci, których znamienite praktykowanie cnót chrześcijańskich i boskie charyzmaty zalecały pobożnej czci i naśladowaniu wiernych...*

W odniesieniu do męczennika Koś-

ŚLADAMI KSIĘDZA BRONISŁAWA MARKIEWICZA



fot. K. Tadej, Jan Paweł II wysłuchuje dekretu o cudzie - 20.12.2004

ciół Święty domaga się rzetelnego udowodnienia faktu męczeństwa i – w myśl definicji podanej powyżej – nie wymaga dodatkowego potwierdzenia ze strony Pana Boga w postaci cudu działanego za jego wstawiennictwem. Dla przykładu podam, że na tej zasadzie zostało beatyfikowanych w 1999 r. w Warszawie 108 Męczenników Polskich, wśród których byli też dwaj nasi współbracia michałici, błogosławieni: ks. Władysław Błaziński i ks. Wojciech Nierychlewski, czy też trzy lata wcześniej, w Rzymie – Wincenty Lewoniuk i 12 Towarzyszy, Męczenników Podlaskich, którzy w roku 1874 oddali życie za wiarę, broniąc swojej przynależności do Kościoła unickiego – miałem zaszczyt być postulatorem ich sprawy beatyfikacyjnej.

Jeśli natomiast chodzi o innych świętych i błogosławionych Kościół zawsze wymagał cudów, które były rozumiane jako nadprzyrodzone potwierdzenie ze strony Boga świętości określonego kandydata do chwały ołtarzy. *Zbiory cudów* rozpowszechniły się w Kościele podobnie, jak *Akta męczenników*. Stąd św. Tomasz z Akwinu uważa, że: *cud jest potwierdzeniem świętości osoby, którą Bóg chce przedstawić ludziom jako wzór cnoty*. Trudno mi jest zagłębiać się tutaj w tę tematykę, ale według tego, czego nas uczone na studium dla postulatorów w *Kongregacji Spraw Kanonizacyjnych*, pojawiały się wśród niektórych teologów propozycje zniesienia konieczności cudu

do beatyfikacji i kanonizacji, sugerując, że byłoby wystarczające stwierdzenie heroicznego cnot. Jest z pewnością w tym wiele prawdy. Uważa się jednak, że stwierdzenie heroicznego cnot, chociaż tak ważne, jest w jakimś stopniu nie w pełni doskonałe. *Pozycja* o życiu i cnotach przygotowana jest na podstawie zeznań świadków, pism, dokumentów. Jest to jakby patrzenie z zewnątrz na życie danego kandydata. Oczywiście, zachowanie zewnętrzne odzwierciedla w dużym stopniu życie wewnętrzne, które w całości jest znane jedynie Bogu, bowiem spowiednicy i ojcowie duchowni nie mogą zeznawać w procesie. Stąd potrzeba potwierdzenia, przypieczętowania z Nieba heroicznego, ukazanej w *Pozycji* przygotowywanej pod czujnym okiem Relatora i wnikliwie ocenianej przez Cenzorów-Teologów oraz Kardynałów, Arcybiskupów i Biskupów – członków *Kongregacji Spraw Kanonizacyjnych*.

Na przestrzeni lat wiele osób pracowało nad sprawą Sługi Bożego ks. Markiewicza. Może przy tej okazji należałoby wspomnieć kogoś w sposób szczególny?

Przystępując do pracy przy procesie beatyfikacyjnym miałem bardzo ułatwioną drogę, bowiem wszystkie materiały zostały już zebrane właśnie przez grono wielu ludzi. Szczególne wyrazy uznania i wdzięczności należą się wszystkim Przełożonym generalnym

obydwu Zgromadzeń Św. Michała Archaniola – poczynając od ks. Antoniego Sobczaka i Sługi Bożej Matki Anny Kaworek, a kończąc na obecnych: ks. Kazimierzu Radziku i m. Edycie Golińskiej – za ich wielkie zaangażowanie i zatroskanie o pomyślny przebieg procesu beatyfikacyjnego: wszystkim bez wyjątku. Mym wdzięcznym wspomnieniem obejmuję w sposób szczególny trzech poprzednich przełożonych generalnych: ks. Aleksandra Ogrodnika, który wysłał mnie zaraz po święceniach kapłańskich na studia prawnicze, z myślą o pracy przy procesie beatyfikacyjnym; ks. Jana Chrapka, który powierzył mi pisanie *Pozycji o życiu i cnotach*, sprawdzając nawet kilka razy w tygodniu postęp prac oraz ks. Kazimierza Tomaszewskiego, który mianował mnie postulatorem generalnym Zgromadzenia. Z kolei należy wspomnieć ks. Waleriana Moroza CSMA – postulatora sprawy na szczeblu diecezjalnym w Przemyslu; ks. praelata Piotra Naruszewicza – postulatora sprawy na szczeblu rzymskim oraz ks. Mieczysława Głowackiego CSMA – mego bezpośredniego poprzednika na tym urzędzie. Pragnę też wspomnieć o wielkim zaangażowaniu ks. Władysława Suchoego CSMA i pani Marii G. Manni z Nepi, zwłaszcza przy redagowaniu i przepisywaniu *Pozycji o życiu i cnotach*.

W procesie o domniemanym cudzie, działanym przez Boga za wstawiennictwem Czcigodnego Sługi Bożego, należy wspomnieć – oprócz ks. Kazimierza Tomaszewskiego, ówczesnego przełożonego generalnego Zgromadzenia, i obecnego ks. Kazimierza Radzika – ks. Czesława Kustrę – ówczesnego przełożonego domu w Toruniu, za jego zaangażowanie w sprawę. Podczas *Kongresu Cenzorów Teologów* podawano jako wzór postawę ks. Kustry dotyczącą zorganizowania nieustannej modlitwy zanoszanej do Boga przez wstawiennictwo o. Założyciela o uzdrowienie ks. Romana Włodarczyka. Następnie wymienić należy: ks. Tadeusza Musza CSMA – radcę generalnego i wicepo-

stulatora w procesie o cudzie, ks. Piotra Prusakiewicza CSMA, który jako nowy radny generalny przejął od ks. Musza troskę o cud na terenie Polski oraz ks. Bogusława Turka CSMA – pracownika *Kongregacji Spraw Kanonizacyjnych* – za wielką życzliwość i pomoc. Jestem przekonany, że należałoby wymienić z imienia i nazwiska wiele innych osób – na pierwszym miejscu wszystkich Współbraci w Zgromadzeniu i wszystkie Siostry michałitki – za ich zaangażowanie i wsparcie modlitewne. Myślę, że w tym miejscu jest to niemożliwe. Mogłoby to być przedmiotem specjalnego artykułu.

Ojciec Święty Jan Paweł II często interesuje się kandydatami do chwały ołtarzy. Czy można tak powiedzieć w przypadku ks. Markiewicza?

Ojciec Święty Jan Paweł II nie tylko się interesuje kandydatami do chwały ołtarzy, lecz czyni wszystko, by mogli oni być jak najszybciej ogłoszeni błogosławionymi i świętymi. W tym też celu Konstytucją Apostolską *Divinus Perfectionis Magister* znacznie uprościł procedurę procesową, dzięki czemu udało się doprowadzić do szybkiego zakończenia wielu procesów. Żaden z papieży nie wyniósł takiej ilości osób do chwały ołtarzy, co Papież Jan Paweł II. Ojciec Świętemu zależy też bardzo na sprawach polskich. Znana mu jest postać i sprawa beatyfikacyjna naszego Ojca Założyciela. Wspomina o nim podczas spotkań z naszymi Współbraćmi. Poprzez *Sekretariat Stanu* prosił *Kongregację Spraw Kanonizacyjnych* o przyspieszenie prac nad procesem o domniemanym cudzie, działanym przez Boga za wstawiennictwem ks. Markiewicza. Przychylił się też do prośby Przełożonych generalnych naszych obydwu Zgromadzeń zakonnych o jego beatyfikację.

Dziękujemy za rozmowę.

28 grudnia 2004 r. Sekretariat Stanu ogłosił, że beatyfikacja Czcigodnego Sługi Bożego ks. Bronisława Markiewicza odbędzie się w Rzymie 24 kwietnia 2005 roku.

GŁOS OJCA ZAŁOŻYCIELA

W artykule pt. *Cel szkół średnich i wyższych*, zamieszczonym na łamach *Powściągliwości i Pracy*, odnajdujemy osobiste wyznanie ks. Markiewicza: *Ja sam, kształcony od dziecka na Skardze i Krasińskim, czytając w 18. roku życia mego dzieła wiele poważne z dziedziny historii i nauk przyrodniczych w języku niemieckim, a obok nich autorów greckich i łacińskich w całości, nie zadowolając się szkolnymi podręcznikami, wkrótce straciłem wiarę w Boga i harmonię wewnętrzną, których brak odebrał mi pogodę i spokój duszy...*

Odnaleźć Boga

Utracić Boga, zwątpić w wierze, to – jak słyszeliśmy – bolesne doświadczenie. Maryję dotknęło bardzo ciężkie doświadczenie pełnienia woli Bożej. Mimo, że sama bez grzechu, umiatająca czytać jakimś nieomylnym wzrokiem plany Boże, gubiąc Syna w Jerozolimie, stanęła wobec tajemnicy, która ją przerosła. Bo przecież – mimo doskonałości – była, jak my, człowiekiem. Jednak szukała i odnalazła Go: *zajęto sprawami Ojca*.

Dramatyczną drogę poszukiwania Prawdy przeszedł także ks. Bronisław Markiewicz. Z serca rozdartego bólem i niepewnością płynęły wstrząsające słowa młodego człowieka: *Niech stracę nogi, w rękach władzę, byleby Cię poznał, Prawdo nieomylna. Jeśli istnieje, Boże, daj mi się poznać, wszystko dla Ciebie gotowym uczynić...*

I wyznaje dalej: *W tej chwili napełnił mnie Pan Bóg wielką światłością wewnętrzną, która sprawiła, iż uwierzyłem we wszystko, co Kościół święty do wierzenia podaje, i tegoż jeszcze dnia wypowiedziałem się z całego życia. I od tam 41 lat minęło, jak panuje stały po-*

kój i pogoda w sercu moim...

Łatwo dziś zgubić Boga: w świetle reklam, wśród anten satelitarnych, pokrzykiwań *możnych tego świata*, usiłujących zdobyć nas za *miszkę soczewicy*, albo za *trzydzieści srebrników*...

Poszukać trzeba Chrystusa w Kościele, bo sam mówił: *Czy nie wiedzieliście, że powinienem być w tym, co należy do mego Ojca?* (Łk 2, 49).

Poszukać trzeba Boga *mojego* w Jego słowie, które pada z kart Biblii, z ambony i zza kratek konfesjonalu.

Odnaleźć trzeba Chrystusa w drugim człowieku, bo sam powiedział, że wszystkim, co uczyniłem *jedemu z tych najmniejszych*, uczyniłem Jemu samemu.

A wtedy stanie się to, o czym pisze ks. Jan Twardowski:

*I nagle cud się zdarzył,
Że w to strasne wnętrze –
Szyły na mnie jakieś dlonie
Od winnic gorętsze –
I uniosły mą duszę nad rude aniołki,
Pod Matki Bożej oczu szafirowe pąki
I wtedy ukląknęłam.*

ks. Dariusz Kielar CSMA

**Intencja II Krucjaty Modlitwy za Ojczyznę
LUTY 2005:**

**Za kapłanów i członków zgromadzeń zakonnych,
za przeżywających trudności w swoim powołaniu,
o dar wiary i głębokiej więzi z Bogiem.**

W sprawie pielgrzymek do Rzymu na beatyfikację ks. Bronisława Markiewicza prosimy konaktować się z ks. Piotrem Prusakiewiczem CSMA (0-603 511 225) oraz z ks. Krzysztofem Poświatą CSMA (0-604 838 749)

KARD. JOSEPHA RATZINGERA RAPORT O STANIE WIARY (2)

Dwadzieścia lat po **Soborze Watykańskim II** kardynał Joseph Ratzinger, prefekt Kongregacji Nauki Wiary, udzielił włoskiemu dziennikarzowi Vittorio Messoriemu, obszernego wywiadu na temat nadziei i zagrożeń dla Kościoła, który został wydany w 1985 r. w książce **Rapporto sulla fede**. Chociaż minęło już od tej rozmowy dwadzieścia lat i kardynał Ratzinger wielokrotnie wypowiadał się na tematy doktrynalne, pastoralne czy moralne, to jednak ten wywiad pozostaje nadal jedną z najważniejszych wypowiedzi na temat Kościoła po **Soborze Watykańskim II**. Chcemy więc w kolejnych numerach **Powściągliwości i Pracy** publikować obszernie fragmenty tego wywiadu, który w polskim przekładzie ukazał się w książce **Raport o stanie wiary**, wydanej przez **Wydawnictwo Michalineum** w 1986 roku.

Sobór do ponownego odkrycia

Wypowiadając się na temat realizacji dokumentów soborowych (dwadzieścia lat po ich opublikowaniu), kardynał Ratzinger nie ukrywa swojego rozczarowania z powodu wielości interpretacji tych dokumentów, jałowej, destrukcyjnej krytyki, upadku ducha i zmniejszenia. Mówi o kryzysie, panującym w Kościele, i o tym, że nie wolno za ten kryzys obciążać winą **Soboru**, jak czynią to albo zbyt niecierpliwi i powierzchownie odczytujący dokumenty, albo – przeciwnie – nostalgicy, pragnący powrotu do przeszłości.

A tymczasem trzeba w całości zaakceptować **Sobór Watykański II**. Należy go jednak traktować jako fundament pod wzniesienie trwałej budowli, a nie jako punkt wyjścia, od którego można się szybko oddalić. Poza tym zaczyna nam się objawiać profetyczna funkcja **Soboru**. Niektóre z tekstów **Vaticanium II**, w momencie ich ogłaszania, były naprawdę antycypacją. Przecież dopiero potem nadeszły rewolucje kulturalne i wstrząsy społeczne; Ojcowie soborowi nie mogli ich z pewnością przewidzieć. Teraz okazuje się, że ich wypowiedzi, tak wtedy antycypujące, są w świetle wydarzeń odpowiednio do obecnej sytuacji. (...)

A sytuacja ta jest m.in. skutkiem rewolucji obywatelskiej na Zachodzie, która doprowadziła do niesłyszanych zmian w sposobie życia, zwłaszcza w obrębie średniego mieszczaństwa. To nowe – tzw. trzecie – mieszczaństwo hołduje przede wszystkim indywidualizmowi, racjonalizmowi i hedonizmowi, w ramach wyznawanej przez siebie radykalno-liberalnej ideologii. (...) Oto,

dlatego powrót do dokumentów soborowych jest tak szczególnie aktualny. Przygotowują one we właściwy sposób do konfrontacji z problemami dnia dzisiejszego. Jesteśmy wezwani do odbudowy Kościoła nie – mimo, ale właśnie – dzięki **Soborowi (...)**, który absolutnie nie zamierzał ingerować w ciągłość czasową Kościoła. (...) Nie ma żadnego Kościoła przed i po **Soborze**. Jest tylko jeden jedyny Kościół, który zmierza ku Panu przez coraz głębsze zrozumienie istoty depozytu wiary, powierzonego nam przez Niego. (...) Intencją papieża Jana XXIII, inicjatora **Vaticanium II**, a także tego papieża, który wnieśli go – Pawła VI, nie było w żadnej mierze poddawanie pod dyskusję **depositum fidei**, którego niepodzielność jest bezsporna. Chodziło o przedstawienie zasad wiary w sposób najbardziej trafiający do współczesnego katolika, a nie o jakikolwiek zmianę.

Kardynał Ratzinger dodaje: dialog ze światem jest możliwy tylko przy pełnym zachowaniu tożsamości. Jeżeli można, należy się otworzyć na świat, ale pod warunkiem, że osiągnęło się własną tożsamość i że ma się coś do powiedzenia. Trwała tożsamość jest warunkiem owego otwarcia. Tak uważali papieże i Ojcowie soborowi. Niektórzy z nich dali się ponieść optymizmowi, za co my – z naszej perspektywy – osądzamy ich jako nastawionych mało krytycznie i mało realistycznie. A przecież jeżeli oni pomyśleli o ufny otwarcie na to, co jest pozytywne we współczesnym świecie, to dlatego, że byli pewni swej tożsamości wiary. Natomiast w ostatnich latach wie-

lu katolików otworzyło się na oścież, bez żadnych hamulców ani filtrów, i pozwoliło zapanować nad sobą nowoczesnej mentalności, przez co zwątpili w podstawę **depositum fidei**, która dla wielu z nich przestała być oczywista.

Chrześcijaństwo musi stale pamiętać, że świat jest w opozycji do nich, odkąd ogłoszono prawdę o Bogu, Chrystusie i człowieku. Świat ten burzy się, kiedy grzech i łaska zostają nazwane po imieniu. Po okresie nieodpowiedzialnych «otwarć» przyszedł czas, by chrześcijanin ponownie sobie uświadomił, że należy do mniejszości i że musi przeciwstawić się większości, co jest niby logiczne i naturalne, a co Nowy Testament – bynajmniej nie w dodatnim sensie – nazywa «duchem światła». Nadszedł czas, by odnaleźć w sobie odwagę bycia nonkonformistą, zdolność do stawiania oporu, do odkrywania prawdziwego oblicza niektórych tendencji we współczesnej kulturze, odrzucając pewne typy euforii posoborowej.

Kardynał Ratzinger jest przekonany o potrzebie odnowy, ale dokonanej w takim duchu, jak to na przykład zrobił Karol Boromeusz w epoce Renesansu. Jego reforma ukazała, jak należy żyć w nowy sposób, trwając przy niezmiennych wartościach i mając na uwadze zarówno całość dzieła chrześcijańskiego, jak i całość ludzkości. (...) Karol Boromeusz mógł przekonać innych, bo sam był człowiekiem przekonany. Dzięki tej pewności mógł opierać się sprzecznociom swoich czasów, bo sam je przeżywał. I mógł je przeżywać, bo był chrześcijaninem w najgłębszym sen-



foto G. Gałęzka

sie tego słowa, to znaczy, był absolutnie skoncentrowany na Chrystusie. Odbudować ten całkowity związek z Chrystusem, oto co naprawdę jest ważne.

Kardynał Ratzinger jeszcze raz podkreśla: Prawda, że reformy wymagają czasu, cierpliwości i narażają na ryzyko; ale nie wolno powiedzieć – «nie róbmy reform, bo są niebezpieczne». Wierzę zatem, że prawdziwy czas **Vaticanium II** nie nadszedł jeszcze, że jego właściwa recepcja jeszcze nie zaczęła. Jego dokumenty zostały szybko porzucone w licznych i powierzchownych publikacjach na ich temat. Ponowne odczytanie **liter** dokumentów umożliwi odzwierciedlenie prawdziwego **ducha Soboru**. Tym samym otworzy się nam oczy na ich prawdziwe znaczenie. Wtedy te wielkie teksty pozwolą nam zrozumieć, co naprawdę wydarzyło się na **Soborze**, a wówczas nasza reakcja będzie miała nowy rodzaj świeżości. Powtarzam: katolik, który jasno widzi szkody poniesione przez Kościół z winy późniejszych deformacji **Soboru Watykańskiego II** i ubolewa nad tym, w tym samym **Vaticanium II** powinien odnaleźć możliwość ich naprawienia. (...)

Na pytanie Vittorio Messoriego, czy w tej kryzysowej sytuacji widać jakieś światło, jakąś nadzieję, Kardynał odpo-

wiada: **Paradoksalnie, właśnie to, co negatywne, może przekształcić się w pozytywne. Wielu katolików doświadczyło w ostatnich latach odstępstwa, a w konsekwencji zobaczyło rezultaty konformistycznej postawy wobec ideologii i spróbowało, co znaczy oczekiwać od świata zbawienia, wolności, nadziei. O tym, jaki wymiar ma życie bez Boga, co znaczy świat bez Boga, wiedziało się do niedawna teoretycznie, teraz stało się to wiadome z doświadczenia. Ale odchodząc od takiej rzeczywistości, która stała się pustką, można odkryć na nowo, jakie bogactwo niesie ze sobą wiara, jak jest ona niezbędna. Dla wielu te lata były jak powolne, trudne oczyszczenie, prawie jak przejście przez ogień, ale to otworzyło przed nimi nowe możliwości pogłębienia wiary.**

Nie zapominajmy, że każdy sobór jest przede wszystkim reformą na szczycie, która dopiero potem ogarnia podstawę. Po każdym soborze, by mógł on zaowocować, powinna nastąpić fala świętości. Tak stało się po **Soborze Trydenckim**, który właśnie dzięki temu osiągnął swój cel – prawdziwą reformę. Ocaleń Kościoła może przyjść i przychodzi tylko z jego wnętrza, nie jest ono uzależnione od dekretów hierarchii. Od wszystkich katolików zależy, czy **Vatica-**

num II i jego zdobycze zostaną uznane za świetlany okres w historii Kościoła, bo to oni wezwani są do wcielenia go w życie. Papież Jan Paweł II niejednokrotnie mówił: «Kościół dzisiejszy nie potrzebuje nowych reformatorów. Kościół potrzebuje nowych świętych.» (...)

To, co budzi nadzieję Kościoła powszechnego, a co płynie z samego kryzysu w Kościele świata zachodniego, to powstawanie nowych ruchów, przez nikogo nie projektowanych, spontanicznych, będących wyrazem żywotności samej wiary. Oczywiście wszystkie te ruchy niosą ze sobą jakieś problemy, mniejsze czy większe niebezpieczeństwo. Ale tak bywa w każdej żywej rzeczywistości. Coraz częściej zdarza mi się spotykać grupy młodych ludzi całkowicie oddanych wierze Kościoła. Młodych, żyjących wiarą i mających w sobie wielki zapal misjonarski. Intensywne życie wiarą nie skłania ich wcale do ucieczki w sentymentalizm, w życie prywatne, lecz jest włączeniem w pełną, integralną **katolickość**. Radość wiary, której dają wyraz, ma w sobie coś zaraźliwego. To wśród tych grup rodzą się autentyczne powołania do służby kapłańskiej i do życia zakonnego. (...) Wylania się z nich nowe pokolenie Kościoła, na które patrzę z wielką nadzieją – mówi kardynał Ratzinger. – To cud, że Duch Święty okazał się jeszcze raz silniejszy od wszelkich naszych programów. W tym sensie odnowa, choć jeszcze przyciszona, zaczyna się realizować. Stare formy, które uwikłały się w wewnętrzne sprzeczności i znalazły upodobanie w negacji, schodzą ze sceny, nowe zaś torują sobie drogę. Naturalnie – nie przemawiając jeszcze pełnym głosem w dysputach na najważniejsze tematy. Ruchy te wrastają w ciszy. Moje zadanie, jako urzędnika w służbie Kościoła i jako teologa, polega na otwieraniu drzwi, przygotowaniu miejsca.

Kryzys jest poważny – mówi Kardynał, odpowiadając na różne pytania Vittorio Messoriego – ale jeżeli tylko staniemy przed nim, bez żadnych uprzedzeń, zdolamy go przezwyciężyć.

Cdn.

Oprac. Jolanta Klecel

Ocalałym z kataklizmu najbardziej potrzebny jest psycholog – stwierdza reporter **Rzeczpospolitej**, relacjonujący ogrom zniszczenia i tragedię ludzi po trzęsieniu ziemi i tsunami w Azji...

Do psychologa!

Psycholog! Podając tę najmłodniejszą obecnie receptę na nieszczęście, nie zastanawiam się, jak – wykształcony w Niemczech, Francji lub Polsce – specjalista od psychoanalizy mógłby pomóc rodzinie muzułmańskiej, która straciła matkę, ojca, dzieci. Rodzinie, która nie rozumie jego języka, a oparcia szuka nie u obcych, ale wśród krewnych i w meczecie. Większości medialnym specjalistom nie przychodzi nawet do głowy, że wierzący muzułmanie, podobnie jak wierzący chrześcijanie, w czasie żałoby po utracie bliskich modlą się, prosząc o opiekę Boga. Postępowcy potwarzają jak mantrę: *Potrzebny psycholog!* Podobne komunikaty można było usłyszeć w czasie tragedii w Bieslanie.

Zrozpaczoną rodzinom trzeba podać z Polski kilku psychologów. Zbudować ośrodek terapeutyczny dla dzieci... Po co? W dotkniętych nieszczęściami, ubogich regionach najbardziej potrzebna jest żywność, woda pitna, dach nad głową. Jeśli teren zagrożony jest epidemią, potrzeba lekarzy specjalistów. Jeśli nie ma epidemii – wystarczą internści i pediatrzy zaopatrzeni w podstawowe leki. Dentyści są w tej sytuacji pożądanym luksusem, choć rzadko wysyłani są w ramach pomocy.

Wiele lat temu, po katastrofie w reaktorze atomowym w Czarnobylu, ktoś zorganizował pobyt w Polsce dzieciom z tamtych terenów. Pobyt trwał kilka tygodni. W tym czasie rodziny zapraszające dzieci starały się przede wszystkim załatwić małym gościom porządne badania lekarskie. Oprócz tego okazywały im troskę i serdeczność. Trochę serca (zamiast terapii grupowej) – i wszystkie zaczęły się uśmiechać.

Psycholodzy pojawili się także na froncie. Historia założyciela księży ma-

rianów, o. Stanisława Papczyńskiego, opowiada o tym, że po bitwach przemierzał pola bitewne i spowiadał umierających. Modlił się za tych, którzy gwałtownie zginęli. Na zachowanych obrazach widać o. Papczyńskiego wyciągającego z otchłani czystocenne dusze. W XVII w., w czasie działalności o. Papczyńskiego, żołnierze walczyli i ginęli z pobudek patriotycznych albo dla pieniędzy. W najtrudniejszych chwilach zawsze towarzyszyli im kapłani.

Oslabienie tradycyjnych struktur

Im gorzej funkcjonują tradycyjne struktury społeczne, im bardziej osłabiona jest rodzina, tym lepiej powodzi się psychologom.

Znajomi państwo Z. zaczęli się klócić. Co zrobić? Poszli do psychologa. Terapeuta zachęcił panią Z., żeby nie tłamsiła swojej osobowości. Ma walczyć o swoje. Małżeństwo zakończyło się rozwodem. Po rozwodzie dziecko państwa Z. zaczęło mieć trudności w nauce i objawy nerwicowe. Trafiło do psychologa...

Coraz więcej dzieci z rozbitych rodzin i wychowywanych przez samotne matki ma problemy szkolne. Rośnie zapotrzebowanie na psychologów.

Życie Warszawy pisze o dwunastoletnim Jasiu: – *Jest agresywny i nieuprzejmy. Dzieci się go boją. Do dyrektorki swojej podstawówki powiedział – Ty suko! Wcześniej wytuł kilka szyb na osiedlu i pobił dwóch kolegów.*

Czy został za to ukarany? Nie! Ponieważ ma zaświadczenie wydane przez psychologa, że cierpi na zespół nadpobudliwości psychoruchowej...

Takich nadpobudliwych dzieci jest coraz więcej. Zaopatrzone w opinie psychologów, biją rówieśników i ubli-

żają nauczycielom. **Co z nich wyrośnie, skoro są przekonani o swojej bezkarności?**

Współczesny system wychowawczo-psychologiczny, zamiast dążyć do korygowania wcześniej wykrytych zaburzeń u dzieci, nagradza lenistwo, agresję i kłamstwo. W czasach mojego dzieciństwa, w nauczaniu początkowym, wiele czasu poświęcano na naukę pisania. Była nawet kaligrafia, a uczniowie pięknie prowadzący zeszyty byli chwaleńcami nauczycieli. W przypadku moich dzieci, nauczyciele znacznie mniej uwagi poświęcali starannemu odrabianiu lekcji, ale w szkole podstawowej zdążyły się nauczyć czytania i wyrażania swoich myśli na piśmie.

Kiedy pod koniec lat 80. trafiliśmy do szkół amerykańskich, stwierdziłam ze zdumieniem, że nawet w klasie czwartej większość dzieci nie potrafi utrzymać się w linii, pisząc kulfontaste litery: raz w górę, raz w dół. Nauczyciele, pytani o tak słabe wyniki nauczania, zwykle odpowiadali, że: *dzieci piszą, jak chcą, nie należy ich poprawiać, bo się stresują...* Walka ze stresem trwała wtedy na wszystkich szczeblach nauczania. Nawet na uniwersytetach. Znajomy, który uczył łaciny na Uniwersytecie Stanowym w Kolorado opowiadał, że w czasie początkowych zajęć studenci rysują bazgroły na tablicy, *żeby wyrzucić swoją osobowość...* (Wtedy wydawało mi się to bardzo śmieszne!)

Postęp w szkolnictwie

Postęp pojawił się i w naszym systemie szkolnym. Im mniej czasu i energii poświęcano na naukę pisania i czytania, tym więcej pojawiało się problemów. Każdym z nich zajęli się specjaliści. Mamy specjalistów od dysleksji i dysgrafii, dyskalkulii i dysortografii. Ministerstwo Oświaty, kierując się zaleceniami psychologów, wprowadziło udogodnienia egzaminacyjne dla uczniów cierpiących na ww. dolegliwości. I wtedy dysleksja i dysgrafia przybrały rozmiary epidemii! W czasie egzaminacyjnych urodzin masowo zgłaszali się z zaświadczeniami o swoich ułomnościach. W Sopocie 47 proc.

uczniów to dyslektycy lub dysgraficy, w Gdańsku prawie 34 proc., podobnie w Grodzisku Mazowieckim. W Warszawie na Mokotowie była podobno klasa, w której takim zaświadczeniem legitymowało się 90 proc. uczniów. Mniej dyslektyków notuje się w rejonach, gdzie jest mało poradni psychologicznych. Na Podkarpaciu, gdzie jest tylko jedna *Poradnia Specjalistyczna dla Dzieci i Młodzieży Dyslektycznej* i 28 poradni psychologiczno-pedagogicznych, odnotowano wskaźnik dysleksji: 4,7 proc.

– *Jeśli stworzy się więcej takich placówek, wskaźnik ten na pewno wzrośnie – zapewniają psycholodzy.*

I pewnie mają rację. Nagradzanie pewnych zachowań powoduje ich utrwalanie. Niedawno mieliśmy okazję o tym się przekonać, gdy wzrosły zasiłki dla samotnych matek...

Izabela Sikora

Psychosynteza

Mówił mi pan, który przez lata żył w Ameryce, że gdy tam mieszkał, panowała moda na psychoanalizę i psychoanalitików. Znajomi tego pana, ich żony itd. mieli psychoanalitików, do których regularnie uczęszczali, by leczyć dusze, stargane nerwy, konflikty w pracy, spięcia w rodzinie itp.

W pewnym momencie jeden psychoanalityk zbuntował się przeciwko swojemu zawodowemu środowisku, przeciwko swej własnej profesji: – *Ludziom – powiedział i napisał – psychoanaliza nie jest potrzebna! Psychoanaliza pacjentom szkodzi, rwąc ludzkie JA na strzępy, zwiększając zapatrzenie w siebie, uwagę odwracając od świata, od bliźniego, od dali, horyzontów i zaświatów. Potrzebna jest psychosynteza czyli*

scalenie, umocnienie, synteza ducha...

Opowiadający pan, wcześniej chodzący do psychoanalitka, zaczął uczęszczać do psychosyntytyka. Natychmiast zauważył, że psychosyntytyk traktuje pacjenta identycznie, jak psychoanalityk. Leżało się na leżance, mówiło, co się chciało, a doktor z rzadka mruczał czy chrząkał lub wtrącał słowo albo zdanie. A jednak inni twierdzili, że odkał analitka zmienili na syntetyka, *pozuli się o niebo lepiej, stanęli na nogi, odczuli smak i urok życia, odnieśli wielkie sukcesy zawodowe, zwiększyli zarobki, stali się lepsi, współpracujący, czuli, wyszli z egocentryzmu itd.*

Tych ludzi więc leczyło słowo: **leczyła nowa nazwa.**

Jerzy Trammer

ZDOBĄDŹ INDEKS STUDIÓW DZIENNIKARSKICH

Ruszyła IV edycja **Konkursu Akademickiego o Indeks im. bp. Jana Chrapka CSMA**. Zwycięzcy mogą zdobyć indeksy na studia dziennikarskie na Uniwersytecie Warszawskim lub Jagiellońskim oraz stypendium naukowe.



foto: G. Góralczyk

Instytut Dziennikarstwa Uniwersytetu Warszawskiego przeznaczona dla laureatów konkursu cztery indeksy:

1. Dwa indeksy na pięcioletnie dzienne magisterskie studia dziennikarskie;
2. Indeks na pięcioletnie wieczorowe magisterskie studia dziennikarskie;
3. Indeks na pięcioletnie zaoczne magisterskie studia.

Instytut Dziennikarstwa i Komunikacji Społecznej Uniwersytetu Jagiellońskiego oferuje laureatom Konkursu trzy

indeksy:

1. Dwa indeksy na trzyletnie dzienne licencjackie studia dziennikarskie z kontynuacją na dwuletnich studiach magisterskich;
2. Indeks na trzyletnie wieczorowe licencjackie studia dziennikarskie z kontynuacją na dwuletnich studiach magisterskich.

Warunki udziału w Konkursie:

– egzamin dojrzałości zdany w roku konkursu; miejsce zamieszkania na wsi lub w mieście do 10 tys. mieszkańców; średnia ocen nie niższa niż 4.5, bądź udokumentowane inne zdolności (np. udział w olimpiadach, konkursach lub wybitne uzdolnienia w jednej dziedzinie); potwierdzonej dochód na osobę w rodzinie nie wyższy od 0.7 najniższego wynagrodzenia brutto ogłaszanego przez Ministra Pracy i Polityki Społecznej, według stanu na dzień składania wniosku (obecnie 560 zł brutto); udokumentowany dorobek dziennikarski (załączone kserokopie publikacji lub taśmy audio-wideo, strony internetowe); pozytywna opinia rekomendującej szkoły (dyrekcji i wycho-

wawcy), która ma prawo wytypować maksimum dwóch kandydatów spośród swoich absolwentów; napisanie pracy, której formę i temat corocznie ustala Komisja Konkursowa.

Tematy prac konkursowych:

1. Esej lub artykuł publicystyczny (do 6 tys. znaków, czcionka 14): **Czy można, a może trzeba, ograniczać własne marzenia;**
2. Reportaż (do 10 tys. znaków, czcionka 14): **Na podstawie doświadczeń osób ze swego środowiska ustosunkuj się do tezy, że pieniądze szczęścia nie dają.**

Laureaci winni przedstawić w sekretariatach swoich studiów dokument świadectwa dojrzałości w oryginale, najpóźniej do końca czerwca 2005 roku.

Uczestnicy Konkursu powinni ponadto nadesłać swój dotychczasowy dorobek dziennikarski (termin nadsyłania prac upływa 31 marca 2005 r.) na adres: **Fundacja Dzieło Nowego Tysiąclecia** Skwer Kard. Stefana Wyszyńskiego 6 01-015 Warszawa.

Więcej szczegółów na stronie:

www.dzielo.pl

PODGLĄDANE CZYNY, PODSŁUCHIWANE ROZMOWY

W tym cyklu pragniemy upowszechnić materiały archiwalne, które z IPN udało się wydobyc osobom pokrzywdzonym przez działalność MBP, UB i SB.

Cenzorskie nożyce (1)

Zadaniem cenzury, a więc Głównego Urzędu Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk i podległych mu urzędów wojewódzkich, było kształtowanie nowej historii i nowego człowieka. Urząd, który narodził się jeszcze przed zakończeniem wojny, zajął się wykreśleniem niewygodnych faktów i niebezpiecznych dla władzy ludowej myśli. Wydaje się, że ze swojej pracy cenzorzy wywiązali się nadszpodziewanie dobrze. Potrafili najwyraźniej wychować nowego człowieka, który pozostał im wierny. Bywa przecież, że tym samym – co kiedyś – myśłom, wydarzeniom i przemysłom dziś także trudno jest zaistnieć w środkach masowego przekazu. Że nadal są one niewygodne, a co gorsza – prognozują i przewidywania ocenianych autorów sprawdziły się.

I tak, na przykład, w roku 1947 oceniano w *Gazecie Ludowej Odezwe biskupów polskich do wiernych*, odczytaną z ambon świątyni katolickich 23 września. Wykreślone zostały m.in. następujące słowa: *Mają miejsce fakty, godzące w świętość wyznawanych przez nasz Naród prawd Wiary (...) podważające wiarę ludu, dobre obyczaje i uznaną cześć Bożą. A jest ich cały szereg, tak iż odnosi się wrażenie istnienia jakiejś rozmyślnie kierowanej, ukrytej walki z Bogiem i Kościołem. (...) Podnosimy swój ostrzegawczy głos przeciwko wzrastającej zuchwałości bluźnierców, którzy w sposób coraz to bardziej natarczywy czynią przedmiotem żartu, zabawy, igraszki, to wszystko, co wiąże się ze świętym imieniem Boga. (...) Strzeżcie się pobłażliwości wobec pism żyjących z bluźnierstwa, nie bierzcie ich do ręki. (...) Niech rodzice katolicy starannie strzegą swych praw w szkole,*

niech w rodzinie wypełniają wychowawcze obowiązki. (...) Nie mniej groźne niebezpieczeństwo, godzące tym razem w dusze najniższych, widzimy na odcinku wychowania dzieci. Powstały bowiem zakłady wychowawcze, które przyjęły sobie za cel wychowanie tzw. człowieka nowego, to jest człowieka pozbawionego wiary w Boga, nie znającego już Imienia Chrystusa Pana, na modłę osławionych szkół hitlerowskich.

(Akta GUKPPIW syg.6, 1/21, k. 105, Archiwum Akt Nowych w Warszawie)

Krytyczne uwagi na temat wychowania dzieci i młodzieży były z reguły odrzucane. – *Chłopcy w wieku dojrzewania mają psychologię kanibalów. Zbyt mało robimy dzisiaj, aby z tych kanibalów wyrosli po prostu ludzie* – pisało w 1948 r. *Dziś i Jutro*. Cenzorzy: Kamieniecki i Papaj wykreślili z artykułu ciąg dalszy: – *Od czasu, gdy w szkole powszechnej błędnie – ognisty niegdyś – napis «Nie zabijaj» i «Nie będziesz miał Bogów cudzych przede mną», obawiać się można, że następne roczniki nie oddalą się zbytnio od tego, co nazwano u nas «zarażeniem się śmiercią»!*

(GUKPPIW syg. 23, 1/46, k. 104, AAN)

– *Szatan nie posiada może lepszego narzędzia do odrywania ludzi od wiary, jak bezbożnego nauczyciela* – pisała w 1947 r. młoda dziewczyna do *Rycerza Niepokalanej* – *A skutki? Wszak dziś tyle młodzieży szkolnej ze-*

psutej do szpiku kości. Jej list nie ujrzał światła dziennego. Podobnie, jak (za sprawą cenzorów Landsberga i Kowalczyka) następujący fragment: «Głoszenia w sprawie bibliotek parafialnych z Dziś i Jutro – Strzeżcie siebie, młodzież i dzieci przed złym słowem drukowanym, które w pięknej postaci, pod szlachetnymi pozorami wlecia się do rodzin polskich, aby je zatruci, osłabić i rozbić».

Dobrego słowa drukowanego zachwalać nie należało. W 1950 r. katowickie pismo *Nasza Droga*, przy wyborze lektury, doradzało młodym ludziom kontakt z rodzicami, nauczycielami i spowiednikami. Polecało książki Prusa, Orzeszkowej, Conrada, Fiedlera i Małewskiej. Cenzor Jerzy Adaszek poradę tę wykreślił. W *Uzasadnieniu* zaś napisał: – *Próba nakłaniania młodzieży do czytania książek wyłącznie religijnych. Przeciwdziałanie naszemu wydawnictwom książek katolickich.*

(GUKPPIW 15, 1/33, k. 316; GUKPPIW 9, 1/24, k. 103; GUKPPIW 80, 6/4 d, k. 57, AAN)

Niedopuszczalne było też przekazywanie pozytywnych wzorów, niezgodnych z obowiązującą linią partii. W roku 1949 poznański *Tygodnik Katolicki* pragnął przedstawić *Wzory bohaterów i świętych*, wymieniając nazwiska hetmana Żółkiewskiego, Jana Sobieskiego, św. Kazimierza, św. Stanisława Kostkę i św. Jadwige, stwierdzając przy tym: – *Jeżeli dokonali wielkich rzeczy, to dzięki wierze i prawości chrześcijańskiej. Ponieważ byli dobrymi chrześcijanami, byli też dobrymi Polakami.* Wykreślając to zdanie cenzor Schmidt tłumaczył: – *Próba wychowania młodzieży w duchu zacofania.*

(GUKPPIW 85, 6/9 I, k. 27, AAN)

Opr.

Janina Hera-Astanowicz

Drodzy Czytelnicy!

Nasze łamy są otwarte na prezentację archiwaliów, jakie fabrykowano na Was i Waszych Najbliższych w latach 1944 – 1989.

Redakcja PIP

Polemiki wokół **teczek Małgorzaty Niezabitowskiej** wywołały szereg nieporozumień. Nie wchodząc w tak subtelną materię, jak pytanie: czy była pani Rzecznik **była**, czy też **nie** tajnym współpracownikiem **SB** – to jest zadanie i właściwość sądu – trzeba odpowiedzieć na inne pytanie. Trzeba rozstrzygnąć mianowicie, czy tecki służb specjalnych PRL stanowią dobre źródło do poznania historii naszego kraju? Czy stanowią iluzję, która miała nie tyle opisywać rzeczywistość, co ją zakłinać i zakłamywać? W świetle tego, jak wyglądała statystyka, historiografia i sprawozdawczość PRL, nie jest to nieprawdopodobne.

Pajęcza sieć

I. Trzeba zwrócić uwagę na kilka faktów. Po pierwsze tzw. tecki były dokumentami przeznaczonymi do obiegu wewnętrznego, a nie zewnętrznego – to je odróżnia od statystyk czy sprawozdań. Wszystkie były opatrzone gryfami tajności i obłożone pieczęciami tajemnicy. Z racji swej *wewnętrzności* nie były narzędziem propagandy, stały się takimi, kiedy zaczęły wypływać na zewnątrz. Trudno było przypuszczać, że zostały spreparowane dla przyszłej walki politycznej w dziesięć lat później, w przyszłej, wolnej III Rzeczpospolitej. Ja sobie w najśmielszych snach nie byłem w stanie jej wymarzyć, a ów podporucznik **SB**, który próbował zwerbować panią Niezabitowską (nie rozstrzygamy z jakim rezultatem), nie widział w swych snach najczarniejszych. To wszystkim, meldunki agentów **TW** – tajnych współpracowników) były broń wymierzona przez **SB** w innych ludzi. Żaden rozsądny myślicy nie psuje celownika przy swojej strzelbie, bo nie byłby w stanie skutecznie polować. Służby specjalne PRL nie miały żadnego interesu w tym, aby fałszować tecki.

2. Znany jest jeden wypadek sfalszowania tecki. To tecka **TW** pseudonim **Bolek** – czyli Lecha Wałęsy. Chodziło o operację wywiadowczą – z podrzuceniem tych dokumentów Ambasadzie Norwegii – i uniemożliwienie Lechowi Wałęsie uzyskanie nagrody Nobla. Okazało się to nawet skuteczne, ale na jeden rok. W następnym nagrodę dostał, jednak zapach pozostał. Wymagało to zatrudnienia wysoko wykwalifikowanego specjalisty od *pisma ręcznego* – tak w oficjalnym języku nazywa się fałszerza, czy specja od papieru o określonej

gramatury, a nawet długopisu sprzed lat czterestu. A wszystko po to, żeby dokonać kopii kserograficznych.

Sporządzanie *falszywek*, co prawda, nie leżało w interesie **SB** (pkt.1), ale nie było niemożliwe (pkt.2). Czy możemy więc powiedzieć z pełną odpowiedzialnością, że było prawdopodobne, że jest to gra teckami, potyczka niesłusznych oskarżeń, której z chichotem historii sekundują dawni oficerowie **SB**?

Wysnuwając taką tezę, nie zdajemy sobie sprawy, czym są owe *tecki*. To nie jest tak, że albo się ma swoją teckę, albo się jej nie ma. To nie jest tak, że teckę można zniszczyć. Oczywiście, fizycznie można. Można spalić na poligonie w Drawsku, można zmieścić w papierze w Konstancinie. Ale śladów działalności **CI** to ani nie zatrze, ani nie usunie. *Prócz tecki osobowej TW*, gdzie przecho-wuje się zobowiązania współpracy, historię werbunku, pokwitowania wynagrodzeń, jest jeszcze *teczka pracy TW*. Tam zbierane są meldunki, wyniki rozmów; czasami spotykałem się z adnotacją: *ze słów* – odróżniająca meldunki ustne od pisemnych. Ale meldunki **TW** mieszczą się także, a może przede wszystkim, w materiałach, tzw. *teczkach figurantów opracowania operacyjnego*, do których mam zaszczepić się zaliczać. Są to tecki nie tych, którzy donosili, ale tych, na których donoszono. Przy każdym donosie zaznaczono źródło, z którego pochodzi. I choć obdarzony jest gryfem: *TAJNE spec. znac. egz. poj.* (to najwyższy gryf tajności) – wcale nie musiał być sporządzany w jednym egzemplarzu.

Ma rację Jadwiga Staniszkis w wywiadzie dla *Rzeczpospolitej*, że nastąpi teraz *druga fala* lustracji. *Druga fala*

polegająca na tym, że ci, którym (jak pokrzywdzonym) udostępniono ich tecki, zaczną się domyślać, kto ich krzywdził. To Krzysztof Wysznkowski, były sekretarz redakcji *Tygodnika Solidarność*, oddajniąc swoją teckę, wysnuł hipotezę, że informator posługujący się kryptonimem: *Nowak*, to może być Małgorzata Niezabitowska. Takich odkryć, takich podejrzeń może być więcej. Musimy uzbroić się w narzędzia poznawcze, pytać historyków, archiwistów z IPN, byśmy mogli stawić czoła *drugiej fali*. Żeby miała ona charakter oczyszczający i nie zakalała nas kseramentami.

W moich papierach (to cztery poważnie wymieliorowane tomy – zachowały się nawet protokoły zniszczeń podsłuchów telefonicznych i pokojowych oraz obserwacji z 1970 r.) znajduje się historia pewnej dziewczyny (a właściwie dwu). Miałem wtedy (koniec lat 70.) tak zwany *berufverbot*, czyli zakaz pracy (jaka była rola **SB** w uniemożliwieniu mi pracy naukowej w PAN-ie, też jest w moich aktach), zarabiałem przed na życie udzielaniem korepetycji. **SB** podesłała mi uczennicę, aby będąc w moim domu, miały dostęp do jego tajemnic. Czytałem tę nieporadność plynącą z meldunków młodych dam przed maturą. Zawsze się zaprzyjaźniałem ze swoimi uczennicami i w ich meldunkach widziałem mękę, że z jednej strony chciały mnie chronić, a z drugiej musiały donosić. I myślę, że prawdziwymi ofiarami byli nie ci złamani luminarze, ale te młode dusze.

Wydaje się, że służby specjalne PRL na podobieństwo pajaków tkwały sieć, którą chciały nas wszystkich spętać i omotać. Ale takie sieci, to specyficzna konstrukcja, w której jedno oczko zależy od drugiego, jeden węzeł sieci od następnego. Nawet kiedy się ją – sieć – w jakimś miejscu przerwie, to logika jej konstrukcji powie, jakich oczek braknie. Na teckach powinny zatem polegać ci, którzy potrafia krytycznie podchodzić do źródeł, analizować *sine ira et studio*; a nie ci, którzy chcą z nich uczynić narzędzie propagandy i politycznego przetargu. One nie są po to.

Marek Karpiński

Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich – organizacja, z której (jak można by mniemać) wiatr *stanu wojennego* wywiał wszelkie śmieci, już chociażby z tego powodu posiadała wielki kredyt zaufania, zarówno u ludzi z własnego środowiska, jak i u światłej części społeczeństwa. Jednak z upływem lat, biegnących od chwili restytuowania *Stowarzyszenia*, stało się ono swego rodzaju *gettem pięknoduchów*, coraz bardziej odległym od prawdziwych problemów środowiska dziennikarzy. Obecnie średnia wieku jego członków sytuuje się wyraźnie powyżej pięćdziesiątki. Dopływ ludzi młodych jest jedynie śladowy. Nie powinno to dziwić w sytuacji, gdy ta organizacja mogła do niedawna zaferować własnym członkom jedynie możliwość płacenia składek – jeśli nie liczyć kilku stoliików w korytarzu, na których emeryci mogą zagrać w bridża.

Rojenia

Z oporem spotykały się wszelkie próby stworzenia warunków do instytucjonalnej obrony praw dziennikarzy, przy jednoczesnym, zupełnie niezrozumiałym, kokietowaniu wydawców. Z których przecież większość, w zamian za groszową zapłatę, traktuje swoich pracowników jak cytrynę do wyciśnięcia lub najwyżej jak koński nawóz, na którym wyrastają zadane do sprzedaży pieczarki. Jak wiadomo, taki nawóz, po jego wyjąłowieniu, wyrzuca się po prostu na śmietnik i wymienia na nowy.

Przeróżające w tym kontekście są poprzedzające styczniowy **Zjazd Delegatów** rozważania honorowego prezesa **SDP** Stefana Bratkowskiego, zamieszczone pod tytułem *Kwestia tożsamości* w nr 1 (79) pisma *Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich – Forum dziennikarzy*. Na początku, dając odpór tym, którzy *chcieliby przywrócić SDP status związku zawodowego, jakim było przed 1980 rokiem*, Kolega Prezes postuluje stworzenie organizacji elitarniej, otwartej dla dziennikarzy *co najmniej dobrych*. Gdzie (cytuje dosłownie): *Komisje Członkowskie niech nie zajmują się przyjmowaniem podań kandydatów na członków, ale odwrotnie – obserwacją, wyszukiwaniem i proponowaniem akcesu tym, których uważają za wartych wciągnięcia w szereg członków. Jak w kręgu Filomatów czy późniejszego Zetu. Właśnie tak – bo najlepsze młodsze pokolenie dziennikarzy, i to nawet najlepsze, często nawet nie wie o istnieniu SDP. I właśnie tych najlepszych i dobrych z młodszych po-*



fol. P. Zycieński

koleń trzeba wylawiać, obserwować i wciągać do Stowarzyszenia; atrakcją ma być prestiż – i sporo wspólnych spraw do załatwienia.

Ale żeby byli ci *lepsi*, musi przecież istnieć rzesza tych przeciętnych, np. *wyrobników pióra* – którym też należałoby umożliwić godne życie i mieć z nimi jakieś *wspólne sprawy do załatwienia*. Poza tym powszechnie wiadomo, że proces kreowania *tych lepszych* bardzo często jest wypadkową jakichś zakulisowych protekcji, przetargów, trendów, na koniec rodzinnych tradycji (przecież kiedyś, w 1980 r. krzyczeliśmy np. *nigdy więcej Wojny!*, a i tak towarzyszył Wojna powrócił niebawem na lukratywne funkcje, już we wcieleniu syna) – i wielu innych, pozamerytorycznych czynników.

Ponadto, idąc za rozumowaniem prezesa Bratkowskiego, członkowie **SDP**

powinni się przygotować albo do zejścia w jakieś patriotyczne podziemie (dlaczego?), albo do przekształcenia struktur *Stowarzyszenia* w wolnomularskie. Bowiemy tylko do takich (obu rodzajów) organizacji nie można się dostać, przychodząc po prostu frontowymi rękami, lecz jedynie będąc tam wprowadzonym bez rozgłosu, ciachaczem, przez wtajemniczonych i znających prawdziwe, a nieznane ogółowi, cele już dawnie zaprzysiężonych członków. Pozostaje tylko określenie obrządku: czy będzie francuski, czy szkocki...

Do niedawna biedne, jak przysłówkowa mysz kościelna, *Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich* odwojowało (w znacznej mierze dzięki energii, uporowi i wierze w istnienie jakichś reliktów sprawiedliwości w otaczającej nas rzeczywistości – prezes **Krystyny Mokrosińskiej**) pozostałości swojego majątku, który został zrabowany przez komunistyczne władze w okresie *stanu wojennego* i przez dziesiątki lat był ze smakiem konsumowany przez organizację będącą tworem gen. W. Jaruzelskiego (*primo voto Stowarzyszenie Dziennikarzy PRL, secundo voto Stowarzyszenie Dziennikarzy RP*).

Ale gdzie pojawiają się pieniądze, tam pojawia się i pokusa... Pierwszy dzień **Zjazdu Delegatów SDP** (14 stycznia br.) upłynął pod znakiem konfrontacji zwolenników przekształcenia *Stowarzyszenia* w tzw. organizację *pożytku publicznego*, o bardziej otwartej formule, i ich przeciwników, którzy pragnęli, by *wszystko pozostało po starremu*. W tle pojawiła się ochota na skonsumentowanie we własnym gronie funduszy, które powinny posłużyć odbudowaniu majątku *Stowarzyszenia*. Gdyby ta opcja zwyciężyła, był **SDP** byłby w zasadzie przesądzony. Kiedy w kasie ukazałoby się dno, ostatni zgasiłby światło w siedzibie *Stowarzyszenia* na ul. Foksal 3/5.

Na szczęście zwyciężył rozsądek okazany w głosowaniu przez większość delegatów. Gwarancją, że ten kierunek zostanie zachowany, był wybór na kolejną kadencję dotychczasowej prze-

wodniczącej – **Krystyny Mokrosińskiej**, dokonany w dniu następnym: 15 stycznia 2005 roku.

Chociaż oddalona została bezpośrednio groźba rychłego uwiędzenia (starczego i finansowego) **SDP – między swoimi**, w atmosferze ciepłego grajdołka i wykonywania pozorowanych ruchów w rzeczywistym bezruchu – egzekucja własnymi rękami została tylko oddalona w czasie. Jeżeli *Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich* nie będzie miało ambicji reprezentowania całego środowiska dziennikarskiego i faktycznie uchyli się od walki o jego elementarne prawa do godnego wykonywania zawodu i do przynajmniej nieco większych dochodów, aniżeli te, które są potrzebne do przeżycia dla przeciętnej rodziny polskiej – skazane jest na osunięcie się w nicłość i to zapomnienie, które już staje się faktem i o którym mimochodem wspomina Bratkowski (patrz cytaty). Dla wszystkich ludzi rozsądnych jest zrozumiałe, że chociażby ze względu na swój szczególny charakter i stosunkowo nieliczną grupę członków, roli lidera środowiska nie przejmie od **SDP** bratnie **Katolickie Stowarzyszenie Dziennikarzy**.

Kto wówczas pozostanie *na placu boju*? Oczywiście postkomunistyczne **SDRP**, które znowu na jakimś polu nas wyprowadziło. Już jest przecież urzędowo uznane za organizację *pożytku publicznego*. Występowało też z projektem, co prawda ułomnym, ale przecież mającym za cel przynajmniej jakąś próbę ochrony ogółu dziennikarzy przed niekontrolowanym wysiłkiem ze strony pracodawców. **My zaś obecnie zatrzymaliśmy się w momencie, kiedy przyszło nam wpatrywać się z przerażeniem w jakieś, utrwalone na piśmie, rojenia o elitarniej łożu masońskiej.**

Cezary Bunikiewicz

Autor jest członkiem władz **Oddziału Warszawskiego SDP** i delegatem na opisywany **Zjazd**, którego kontynuacją za dwa miesiące będzie **Nadzwyczajny Zjazd**, poświęcony uchwaleniu nowego Statutu **SDP**.

Między ulicami Rosoła, Wąwózową, Kiepury i Dembego na stołecznym Ursynowie powstał mur. Ogrodzone zostało 17 hektarów, czyli obszar większy od Starego Miasta liczonego w obrębie murów. Całość jest monitorowana, strzeżona furtki i ochroniarze. Na zagadnienie trzeba patrzeć dwójako. Po pierwsze, jako na **zjawisko społeczne: odgradzanie się zamożniejszych mieszkańców od reszty, oraz **psychologiczne**: jako popadanie części społeczeństwa w coraz silniejsze lęki...**

Mury

Grodzone czy wydzielone osiedla nie są niczym nowym w warszawskim krajobrazie. Już kilkanaście lat temu teren Wilanowa koło ul. Wiktorii Wiedeńskiej, Królewicza Aleksandra, Kosiarzy, Urodzajnej i Rumianej stołeczna ulica nazwała *Zatoką Czerwonych Świń*. I nie chodziło bynajmniej o kolor budynków, tylko o skład osobowy mieszkańców tego terenu.

Jeszcze wcześniej częściowo otoczone ogrodzeniem z drutu kolczastego były Al. Róż i Al. Przyjaciół, ale to jedynie po to, aby towarzysze, pracujący w pobliskim Ministerstwie Sprawiedliwości nad utrwalaniem władzy ludowej – mogli czuć się bezpiecznie w swoich domowych pieleszach. Obecnie prawie trzy czwarte powstających w stolicy inwestycji mieszkaniowych jest ogrodzone lub strzeżone. Prawie połowa – ogrodzona i strzeżona.

Warto zastanowić się, dlaczego tak jest. Szczególnie w kontekście podpisanej w zeszłym roku uchwały Rady Miasta na temat uwłaszczenia spółdzielni mieszkaniowych. Uchwała co prawda weszła w życie i została podpisana przez prezydenta Kaczyńskiego, ale nie wydano do niej przepisów wykonawczych. Dlatego pomysł, aby spółdzielnie mogły się uwłaszczyć, wpłacając jedynie 1 proc. wartości mieszkania, pozostał jedynie marzeniem wielu rodzin.

Z drugiej strony na tzw. wolnym rynku mieszkaniowym pojawia się mnogość propozycji od deweloperów budowlanych. Zachęcają oni do kupna mieszkania po wolnych cenach. W budynku budowanym przy zbiegu ulic Słowackiego i Ks. Popiełuski cena 1 m. kw. wynosi 3600 złotych. Przy obecnym poziomie zarobków albo wysokościach rat spłacanych bankom – suma, jaką na-

leży wpłacić za, powiedzmy, 70 metrowe mieszkanie (bez wyposażenia) – wynosi 252 000 zł (!!!). Jeżeli weźmie się pod uwagę, że według oficjalnych statystyk w Polsce jest ponad 3 mln bezrobotnych, to taka cena jest wzięta z sufitu. Zupełnie tak samo abstrakcyjna, jak podarowanie w 1981 r. miliona dolarów.

I teraz przechodzimy do sedna zagadnienia. Jeżeli praca jest reglamentowana i wręcz niemożliwością – bez odpowiednich koneksji – jest jej zdobycie, to każdy, kto kupuje mieszkanie na wolnym rynku, musi być postrzegany przez ogół – jako nie do końca czysty. Jeżeli przy tym wszystkim zarabia przyzwoite pieniądze i afiszuje się z tym na zewnątrz – samochód, sprzęt elektroiniczny – jest postrzegany co najmniej jako człowiek z powiązaniem, czyli niezbyt uczciwy.

Tacy ludzie mają się czego obawiać. Nic więc dziwnego, że zamykają się w coraz to doskonalszych gettach. Przewadzi to do sytuacji znanej już w świecie. W morzu nędzy powstają enklawy ludzi wyjątkowo bogatych, którzy żyjąc w całkowitej izolacji, nie mają potrzeby wychodzić ze swoich złotych klatek. Na miejscu mają bowiem wszystko, czego im trzeba do życia: szkoły, sklepy, ochronę i pogotowie. W ten to sposób sami zamykają się w złotych wieżach. Jak prawie dwadzieścia lat temu śpiewał bard lat osiemdziesiątych: *Moje mieszkanie murem podzielone, po jednej stronie nigdy się nie budzi, po drugiej stronie nigdy nie zasypia...*

Jednak nawet największa ilość kłuczo, zamków, ochroniarzy nie da poczucia bezpieczeństwa komuś, kto nie jest przyzwyczajony, uczciwym człowiekiem. Takiemu nie pomogą ani ochroniarze, ani policjanci, ani nawet czołgi na ulicach. Bo to, co go najbardziej osacza, to... sumienie.

Grzegorz Guttman

GOSPODARSKIM OKIEM

Trzeba byśmy się zastanowili, czy ci konkretni ludzie, często znani nam osobiście, którzy cierpią w naszym kraju niedostatek, w jakikolwiek sposób zasłużyli sobie na to; czy można przypisać im jakąś konkretną winę, albo wskazać jakieś okoliczności siły wyższej, które ich zubożyły? W większości wypadków – nie! Wynika z tego, że ich biedę spowodowało działanie osób trzecich. Tak więc naszym obowiązkiem – zarówno moralnym, jak i patriotycznym – jest nie tylko wskazać tych osób, lecz także opisanie i napiętnowanie działań, które przyniosły tak fatalne skutki.

Lewica, dialog, bieda (3)

Sądzę, że tylko środowiska katolicko-patriotyczne są jedyną siłą, która może przeprowadzić niezbędne zmiany gospodarcze. Jedyńm sposobem na to, jest naprawa finansów państwa przez doprowadzenie do zmiany dynamiki wewnętrznej biurokracji.

Chodzi o to, by ludzie zatrudnieni w administracji – na skutek naszej postawy – nie mieli interesu osobistego w uszkodzeniu gospodarce. Sprawa bowiem polega na tym, że gdy nie ma obiektywnego kryterium wyliczenia wysokości zarobków (biurokracja, działając z definicji na szkodę gospodarki, nie może mieć takiego kryterium), a trzeba to zrobić, to jedynym sposobem jest wycena cech osobistych. W związku z tym osoba, która chce zarabiać więcej lub mieć więcej władzy, nie jest zainteresowana rzeczywistymi skutkami swoich działań, a jedynie udokumentowaniem swojej przewagi społecznej nad konkurentami do tego stanowiska. W rezultacie aktywność zawodowa zaczyna się sprowadzać do uczestnictwa w swoistym konkursie piękności, w którym – w zależności od zajętogo miejsca – ma się status społeczny i materialny.

Oznacza to, że praprzyczyną naszych problemów gospodarczych jest konstrukcja społeczeństwa wg doktryny hellenistycznej. Dlatego, by naprawić gospodarkę, musimy wprowadzić w to miejsce katolicką doktrynę społeczną. W tym celu nade wszystko musimy powiedzieć, że hellenizm jest zły i nie chcemy mieć z nim nic wspólnego. Zakończyć wszelki z nim dialog, a zacząć się z nim spierać. Ten spór możemy bez trudu wygrać. Jeżeli dojdzie do przerwania dialogu, to będą dwa systemy i ludzie będą mogli

porównać, który z nich jest lepszy. Systemu hellenistycznego nie wybiorą na pewno, nie tylko dla tego, że jest on sprzeczny z naszą tradycją, ale i dlatego, że jest on nieproduktywny i sam nie jest w stanie się utrzymać.

Starając się uniknąć odpowiedzi na pytanie, kto ma nie jeść do syta i dlatego – mimo że dla wszystkich nie ma chleba – należy się zastanowić nad tym, jak technicznie powstała nasza nędza i co zmieni nasz sprzeciw wobec systemu społecznego generującego nędzę.

Zwróćmy uwagę na to, że gdyby reformy społeczne sprzed 15 lat nie polegały na zmianie właściciela – przy zachowaniu struktury wewnętrznej przedsiębiorstw i ich powiązań z resztą systemu społecznego, czyli niejako od góry, a zaczynałyby się od zmiany struktury wewnętrznej przedsiębiorstw i zmiany ułokowania pojedynczych miejsc pracy w mikrosystemie społecznym funkcjo-

nującym w zakładzie pracy, dopiero zaś w wyniku powstawania nowych więzi kooperacyjnych następowała by zmiana własności przedsiębiorstwa – to prywatyzacja mogła by być prawie 10-krotnie efektywniejsza, czyli wystarczyłoby sprywatyzować tylko 10 proc. majątku, uzyskując dla państwa ten sam wpływ finansowy. W przyjętym sposobie prywatyzacji przedmiotem transakcji była tak na prawdę kwota pieniędzy, jaką przynosił prywatyzowany zakład, a nie jego składniki majątkowe. Brało się to z tego, że te składniki majątkowe były w większości miejscem pracy jakichś ludzi. Przy zachowaniu struktury zatrudnienia – przynajmniej w momencie sprzedaży firmy – trzeba było zachować również i majątek wykorzystywany przez tych ludzi w pracy. Nie mógł być on, w związku z tym, w tym czasie przedmiotem obrotu handlowego, więc jego wartość wynosiła 0.

Paweł Gospodarski



fot. P. Złoczeński

CHWILA MUZYKI

Wiara artysty

Każdy twórca ma skłonność do obóśtowania sztuki, to jasne. Bez tego jego egzystencja byłaby kompletnie pozbawiona sensu, zwłaszcza w tak częstych momentach zwątpienia, kiedy – wydawałoby się – zarówno krytycy jak i odbiorcy oraz koledzy-artyci sprzyśągają się, aby wykazać nieszcześnikowi, że to, co robi, jest z gruntu chybione i nikomu niepotrzebne. Wtedy tylko wiara może go uratować od załamania psychicznego, na którego krawędzi zresztą i tak każdy artysta stale się znajduje.

Podlegający nieustannej presji twórca, który przecież w każde dzieło wkłada cząstkę siebie, zwraca się często do swego naturalnego partnera: Stwórcy Wszczereczy. Zwraca się z różnymi inwokacjami – często jako równy do równego (przykładem takiej

postawy, wcale nierzadkiej, jest nasz czołowy wieszcz narodowy Adam Mickiewicz i jego *Wielka Improwizacja*), z nadzieją, że akt twórczy, będący wszak dalekim odbiciem stworzenia świata, upoważnia go do tego.

Czy możemy sobie wyobrazić reakcję Pana Niebios na takie uzurpatorskie enuncjacje? Można przypuścić, że przypomina ona reakcję ojca rodziny, któremu dorastające dzieci pokazują swoje pierwsze zarobione pieniądze, obiektywnie rzecz biorąc, niewystarczające nawet na zakup pary butów, zdartych podczas wykonywania pracy. – *A jednak* – myśli ojciec – *to moje kochane dziecko dzielnie stara się sprostać wyzwaniom Rzeczywistości. Oto jest na dobrej drodze. Będę jej równy do równego (przykładem takiej*

entuzjazmu. Tak i nasz Ojciec zapewne cieszy się z każdego nowego dzieła, które potwierdza, że również w obszarze twórczości jesteśmy Jego obrazem i podobieństwem. Aczkolwiek chyba raczej ma Ojciec Święty, który w dramacie *Brat naszego Boga* – a również i własnym przykładem – pokazuje, że świadomy swego powołania twórca może zrezygnować z uprawiania sztuki na rzecz powołania jeszcze większego – służby bliźnim. Choć nie każdy musi dojrzeć do takiej transformacji; Pan Zastępów, jak każdy kochający ojciec, zostawia nam w tej kwestii wolną wolę. Nie narzuca Swojej woli nawet tym, którzy, jak kmałbrne dzieci, odwracają się od Niego, preferując wiarę w *sztukę* lub w *siebie*.

Jak marnie to bożki, przekonają się jednak wszyscy prędzej czy później – i oby nie było to zbyt późno!

Maria Szreder

PLASTYKA

Gromnica... zimy połowica

Staropolska nazwa święta Matki Boskiej Gromnicznej (2 lutego) nawiązuje do łacińskiego *festum candelarum*, czyli *uroczystości świec*. Przypada ono w uroczystość Ofiarowania Pańskiego i Oczyszczenia Najświętszej Marii Panny, ustanowione w IV wieku i najwcześniejsze obchodzone w Jerozolimie.

W naszym kraju dawniej i dziś we wszystkich kościołach podczas nabożeństwa święci się woskowe świece, które pobożni ludzie przynoszą zapalone do swoich domów. Według ludowych tradycji, poświęcone świece zapalało się w chwilach zagrożenia, podczas powodzi lub gwałtownych burz – stąd przypuszczalnie wywodzi się nazwa świecy – *gromnica*.

Na licznych obrazach, malowanych przez ludowych twórców, Matka Boska Gromniczna ukazywana była w towarzystwie wilków. Zgodnie z legendą, Matka Boża idzie nocą przez ośnieżone pola i pilnuje ozimin, by nie wyarmarzy w lutowe mrozy. Przyswiewiając sobie gromnicę, pomaga błędzającym odnaleźć drogę, dogląda także ludzkich obejm, do których podkradają się wygłodzone wilki. Litościwa Matka Boża nie wydała jednak wilka ścigającym go chłopom, odpowiadając im tak w wierszu Kazimierzy Iłakowiczówny: *Anim go szukała, ani go wydam, patrzcie lepij po sercach, to wam się przyda, bo tam właśnie, a nie wśród leśnych ściżyn, wilk leży*. Wiersz Iłakowiczówny znajduje szczęśliwe zakończenie: *Od-*

tąd chodzi wilk z Matką Najświętszą wiernie, przez śniegi puste, zawiane ściernie, pełniąc wśród nocy mrocznych i długich różne posługi. A kiedy jasna gromnica świeci, Panna Przeczysta pośród zamięci, tuż i Gromniczną Wilk za swą Panią jarzy ślepiami.

Święto Matki Boskiej Gromnicznej zamyka radosne uroczystości Bożego Narodzenia z ludowymi jasełkami, śpiewaniem kołęd i duszpasterskimi wizytami w domach pobożnych parafian. Występująca często – na malarzkich przedstawieniach Święta Ofiarowania Pańskiego – postać Symeona przypomina jego prorocze słowa: *Oto ten przeznaczony jest na upadek i na powstanie wielu w Izraelu i na znak, któremu sprzeciwić się będą. A Twój dusze miecz przeniknie, aby na jaw wyszły zamysły serc wielu* (Łk 2, 34-35). Po święcie Matki Boskiej Gromnicznej już zbliża się Środa Popielcowa i Wielki Post.

Jarosław Kossakowski

PRZEGLĄD PRASY

Dzień po kongresie **SLD, Rzeczpospolita** w komentarzu redakcyjnym stwierdziła, że zwycięstwo Józefa Oleksego to dobra wiadomość dla przeciwników **SLD**. Ten partyjny konwent, odbywany w najlepszym stylu lat siedemdziesiątych, pokazał, że postkomuniści nie potrafią rozstać się z tradycyjnym poczuciem wszechwiedzy i nieomylności, jak również z tradycyjnym poczuciem wyższości; za nic mają opinię publiczną, a nawet swoich wyborców, choć to przecie od nich zależy dalszy los partii.

Kłamca

Podobnie oceniła zjazd **Gazeta Wyborcza**, pisząc, że wraz z nowym przewodniczącym Oleksym wygrał partyjny beton, natomiast wraz z Janikiem przegrali zwolennicy śmiałego oczyszczenia partii i integracji lewicy.

Tymczasem liczby są bezlistne i pokazują, czym jest dzisiaj partia, która poprzednie wybory wygrała z miążdzącym, bo 40-procentowym, poparciem. Pod koniec grudnia, według danych **CBOS**, poparcie dla **SLD** zmalało aż ośmiokrotnie i wynosi zaledwie 5 procent. To jest zaś próg, przy którym partia znalazła się na granicy politycznego samobójstwa. Jeżeli nie wejdzie do Sejmu w najbliższych wyborach (a wiele na to wskazuje), zapewne bezpowrotnie zniknie ze sceny. Jakby tego było mało, Józef Oleksy niczego nie rozumie i w kulurach zjazdu mówiono całkiem poważnie, że chce on startować w najbliższych wyborach prezydenckich. Można by podziwiać tę odwagę, gdyby nie fakt, że wszystko to odbywało się kilka dni przed tym, jak **Sąd Lustracyjny** orzekł, iż Oleksy jest kłamcą, ponieważ zataił prawdę w oświadczeniu lustracyjnym. Taki wyrok sądu przewidziały niemal wszystkie media i nie ma się czemu dziwić. **Rzecznik Interesu Publicznego sędzia Bogusław Nizieski** (Laureat nagrody **Bóg Zapłać 2002**), stawiając Oleksego w stan oskarżenia, posiada w tej mierze niezbitę dowody. Było to oczywiste dla wszystkich, tylko nie dla lewicy spod znaku **SLD** i samego zainteresowanego.

Rzeczpospolita przewiduje przeto, że **SLD** zniknie wkrótce ze sceny politycznej. *Partia uwikłana w dziesiątki kompromitujących afer* – pisze Igor Janke – odpowiedzialna za fatalny styl rzą-

żenia, za wszechobecny nepotyzm i kapitalizm polityczny, wybrała na swego przywódcę człowieka, którego nie sposób uznać za odnowiciela lewicy. Od lat jest przecież jednym z głównych rozgrywających w tym obozie... Ocena jest bezlistna: **SLD** niczego się nie nauczył i niczego nie rozumie, skoro postanowił zmienić lidera na człowieka jeszcze bardziej kojarzącego się z tym samym postpepeerowskim establishmentem. *Józef Oleksy – w swej długiej karierze politycznej, i sięgającej lat 80. I Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Białej Podlaskiej, gdzie był pierwszym sekretarzem – nie objawił się jako człowiek zdolny do radykalnej przebudowy czegokolwiek. Ma niewątpliwie wielki talent do zdobywania kolejnych stanowisk. Ale ta umiejętność dziś raczej nie wystarczy. Oleksy nie jest symbolem zmian. To znak ciągłości w obozie postkomunistycznym.*

Wyrok Sądu Lustracyjnego z 22 grudnia ubiegłego roku jest na to niezbitym dowodem. Na podstawie licznych dokumentów, które uznano za wiarygodne, sąd orzekł, iż **Józef Oleksy w latach 1970 – 1978 współpracował z wywiadem wojskowym, brał za to wynagrodzenie i zataił prawdę w oświadczeniu lustracyjnym**. Z akt jednoznacznie wynika, że w 1969 roku agenturalny wywiad operacyjny przy **II Sztapie Generalnym Ludowego Wojska Polskiego** wytypował go jako kandydata na wywiadowcę, po czym Oleksy został skutecznie zwerbowany. W latach 1970-74 spotykał się kilkadziesiąt razy z prowadzącymi go oficerami wywiadu – w lokalach gastronomicznych i kontaktowych – przekazywał im żądane informacje oraz proponował pomoc przy werbowaniu

ni w środowisku studenckim kolejnych agentów. **Gazeta Wyborcza** przypomniała, że w roku 1973 Oleksy odbył specjalistyczne przeszkolenie jako agent i dwa razy otrzymał wynagrodzenie za swoją pracę wywiadowczą: dwa tysiące i półtora tysiąca złotych. **Rzeczpospolita** ujawniła z kolei, że w archiwum **II Sztapu Generalnego** zachowały się dwie teczki, dokumentujące dokładnie tę współpracę: *teczka personalna i teczka pracy*, dodając, że Oleksy jako wywiadowca miał swój pseudonim.

Oleksy wszystkiemu oczywiście zaprzeczył. Stwierdził, że dokumenty zostały sfałszowane, że jest ofiarą lustracji, która nie jest społecznie akceptowana, i zapowiedział zaraz po rozprawie, że zaskarży wyrok sądu. Pikanterii całej tej sprawie dodaje fakt, że przecież ówczesny marszałek Sejmu nie był sądzony za współpracę ze służbami specjalnymi PRL-u, ale za to, że tę współpracę zataił. Jest to smutnym świadectwem tego, z jakiego pokroju ludzi składa się nasza klasa polityczna i jacy ludzie sięgają po najwyższe stanowiska państwowe.

Idąc teraz w zaparte, Oleksy wykazuje się odwagą, której zabrakło mu, kiedy składał oświadczenie lustracyjne. Cóż, można powiedzieć? Że w takiej sytuacji (po uprawomocnieniu się wyroku Oleksy będzie na 10 lat odsunięty od sprawowania funkcji państwowych) jest to tania odwaga. Za to głupota jest nadal w cenie. Przypomnijmy bowiem, że kiedy poseł Andrzej Pęczak powędrował do aresztu, marszałek Sejmu nie widział przeszkód, aby nadal, z za krąg wieziennych, wykonywał na swoją funkcję parlamentarzysty. Eliminowanie z życia publicznego takich ludzi, jak Oleksy, jest ze wszech miar pożądane. Powinno się to jednak – w naszym wspólnym interesie – robić sprawnie i skutecznie.

Tymczasem proces lustracyjny Oleksego toczy się już szósty rok i nikt mnie nie przekona, że nie mógł zakończyć się wcześniej.

Andrzej W. Pawluczuk

ECHA NASZYCH PUBLIKACJI

W numerze 11 (643) **Powściągliwości i Pracy**, z listopada 2004 r., przeczytałem artykuł ks. Henryka Krolla **Niedawno temu na Kartuzach**. Książd Kroll napisał: *...Bóg dał mi prezent: dokumenty z IPN...*, a ja piszę: **ks. Henryk Kroll dał mi prezent swoim artykułem**.

24 listopada minęła 38. rocznica śmierci mojego dziadka – Pawła Stankiewicza. Zmarł w szkole w Węsiarach (parafia i gmina Sulęcyno), podczas okolicznościowego spotkania z rodzicami.

Dziadek – rocznik 1901 – urodził się na Litwie. W 1918 r. jako harcerz przyjechał do Warszawy z pocztą (meldunki, tajna korespondencja, itp.). Tam dowiedział się, że jego rodzinne strony zajęli Litwini i nie ma po co wracać, bo przesładują Polaków. W Warszawie otrzymał rządowe stypendium, zdał maturę i został wysłany jako nauczyciel do pracy na Kaszuby – trafił do Węsiar.

Na początku było mu ciężko. Jednak po kilku latach pracy i wspólnego życia zdobył szacunek i zaufanie Kaszubów, a to dzięki swej wielkiej pobożności. Jeszcze przed wojną został kierownikiem szkoły. Był nim również po wojnie, aż do swojej śmierci. Babcia Władysława (z domu Paff) pochodziła natomiast z Sambora (obecnie Ukraina). Wszystkie dzieci (2 synów i 7 córek) urodziły się w Węsiarach (moja śp. mama biegle знаła język kaszubski).

Książd Kroll wspominał ks. proboszcza parafii Sulęcyno. Nie pamiętam jego nazwiska, ale wiem, że często przebywał w domu mojego dziadka: udzielił ślubu moim rodzicom i ochrzcił mnie. Na zdjęciu ślubnym moich rodziców siedzi obok mamy. Podarował im w prezencie obraz *Chrystus nauczający z łodzi* (mama była wówczas początkującą nauczycielką), który jest obecnie w moim posiadaniu.

Po śmierci babci, w styczniu 2003 r., trafił do moich rąk inny obraz – pamiątka po dziadkach, *Matka Boska Częstochowska – z dedykacją: KRÓLOWA KORONY POLSKIEJ, DZIECIOM POMORZA NA PAMIĄTKĘ 3-GO MAJA 1925 ROKU*. Na odwrocie obrazu widnieje napis: *Za pilność w nauce i... otrzymał uceń... Klemens Bronk i ofiarował klasie*. Obraz ten wisiał w klasie szkolnej od 1925 r., przez okres okupacji do – wspomnianego w artykule – 1958 r. (zarządzenie Ministra Oświaty dot. zdjęcia w szkołach emblematów religijnych).

Dziadkowie zajmowali mieszkanie służbowe w szkole (obszerne poddasze). Z opowiadań wiem, że dziadek do końca był przeciwny wykonaniu ww. zarządzenia. Ponoć to babcia nocą, w przeddzień wizytacji szkoły przez ówczesne władze oświatowe, przeniosła obraz z klasy do mieszkania. Czy można dziwić się babci? Poza swoimi dziećmi nie mieli w tych stronach bliższej rodziny, nie byli właścicielami gospodarstwa ani nawet jakiegokolwiek domu czy lokalu. W r. 1958 mieszkali z 5-ką nieletnich dzieci, 2 dorastającymi córkami, moją mamą i mną w służbowym mieszkaniu. Co by się stało, gdyby dziadek stracił pracę? Chwile i decyzje musiały być bardzo dramatyczne.

W innym fragmencie artykułu wspomniany jest ks. Król z Sierakowic i jego praca z młodzieżą. Moja mama w latach 1953 – 56 uczęszczała do szkoły w Sierakowicach. Często wspominała ten czas i opowiadała o spotkaniach młodzieży z tamtejszym księdzem: o wspólnych pogadankach, zabawach, opłatkach itp. Najprawdopodobniej opowiadała o ks. Królu.

Szczęść Boże!

Kazimierz Zarański
Elbląg

Wydawca miesięcznika **PiP**:
Wydawnictwo **MICHALINEUM**
przy Kurii Generalnej
Zgromadzenia św. Michała Archanioła
Dyrektor Wydawnictwa **Michalineum**
ks. Krzysztof Kuźnik CSMA

Redaguje:
Redaktor naczelny: ks. Sylwester Łącki CSMA
tel. (22) 771 45 95 lub 0 602 603 717
e-mail: pip@michalineum.pl

Adres redakcji:
PiP, ul. Piłsudskiego 248/252,
05-261 Marki k. Warszawy
tel. Wydawnictwa: (22) 781 16 40
www.michalineum.pl

Skład, lamanie, druk:
Drukarnia **MICHALINEUM**
Grafika komputerowa:
Robert Szubierajski

Redakcja nie zwraca maszynopisów
nie zamówionych

Najkorzystniejsza jest prenumerata

Warunki prenumeraty
Roczna prenumerata 1 egz. wynosi 48 zł
Pieniądze należy wpłacać na konto:
PKO BP SA IV O/Warszawa
Filia Wolomin
08 1020 1042 0000 8302 0009 1181

W miejscu przeznaczonym na korespondencję prosimy wpisać okres prenumeraty i liczbę prenumerowanych egzemplarzy.

Miesięcznik można otrzymać również za pobraniem pocztowym.

W przypadku większej liczby egzemplarzy (ponad 10) udzielamy rabatu.

Zamówienia na miesięcznik **PiP**
prosimy kierować na adres:

Wydawnictwo **MICHALINEUM**
(dział kolportażu)
ul. Piłsudskiego 248/252
05-261 Marki
tel.: (22) 781 14 20

Redakcja dysponuje ograniczoną liczbą
egzemplarzy archiwalnych

Miesięcznik można także nabyć w następujących domach zakonnych Zgromadzenia:
1. **Warszawa-Bemowo II**, ul. Ks. Markiewicza 1
2. **Miejsce Piastowe**, ul. Ks. Markiewicza 25a
3. **Kraków**, ul. Kazimierza Wielkiego 95a
4. **Stalowa Wola**, ul. Ofiar Katynia 57
5. **Toruń**, ul. Rybaki 59

Za zgodą władz kościelnych
Nakład: 5000 egz.